№ 503.
Biblioteka Dzieł Wyborowych.

Tadeusz Rittner.

# NOWELE

Cena 25 kop.
W prenum. 19 ¼ kop.

WARSZAWA
Redakcya i Administracya Warecka 14.
1907.

# NOWELE.

Tadeusz Rittner.

# NOWELE



WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.
1907.

# JA JĄ ZNAM.

Podczas mego pierwszego pobytu w Amsterdamie byłem bardzo szczęśliwy. Dlatego mogę powiedzieć, że Amsterdam należy do najpiękniejszych miast w Europie. Miałem nawet pieniądze, chociaż nie przypominam sobie zkąd. Zdarzyło mi się pierwszy raz w życiu, że, przechodząc przez jakąś ulicę, powiedziałem sobie, że tu chciałbym mieszkać, a już na drugi dzień rzeczywiście tam zamieszkałem. Powodem mego dobrego humoru była między innemi wolność, która jednak trwała tylko sześć tygodni.

Otóż patrzyłem wieczorem przez okno i myślałem o tem i owem. Nie wiem, czy stary dom, stojący naprzeciw, miał dwa czy trzy piętra. Ale to wiem, że na najwyższem piętrze mieszkał smutny pan w okularach i z brodą, która nie była właściwie siwa, tylko czarna i biała. Widziało się obok siebie dwa prądy; na jednej brodzie starość i młodość.

W jego pokoju było zawsze ciemno; może robił oszczędności na sztucznem świetle. A siedział

może dlatego przy oknie, że bał się siedzieć w ciemnym pokoju. Bardzo to dobrze rozumiem. Chociaż wydaje mi się, że musi być o wiele nieprzyjemniej patrzyć na jasną ulicę, gdy się czuje za sobą ciemny pokój. Pewny jestem, że ma się jakiś niemiły dreszcz na plecach. Dlatego u mnie świeciła się lampa.

Zato pan z przeciwka trzymał sobie zapewne małpę, albo papugę, albo jakieś inne zabawne zwierzę. Bo, siedząc przy oknie, czasem, nawet dość często, nagle się odwracał i coś mówił do ciemnego pokoju. Mówił niejako na głucho, tak jak się mówi monologi, albo do papugi czy małpy. W każdym razie nie dostawał żadnej odpowiedzi. Z całego wyrazu jego twarzy i z obojętnych ruchów było widać, że mówi bez echa.

— Przykre takie życie!.. — pomyślałem sobie, kręcąc papierosa, i przypatrywałem się z pewnem zajęciem smutnemu panu, który od pół godziny jeszcze bardziej zmarkotniał i pogrążony w myślach zapomniał nawet mówić do ciemnego pokoju.

— Papużka się nudzi — powiedziałem do niego wzrokiem — jest niejako twoim obowiązkiem utrzymywać rozmowę. Pomyśl tylko, w jak bajecznie ciepłych i rozkosznych klimatach żyło to rajskie zwierzę. A teraz nudzi się pociemku. Jesteś sto razy okrutniejszy, niż biegun północny.

Ale on widać nie dosłyszał mego wzroku. Przesunął ręką po czole. Tak, jakby w duszy westchnął: „Czego ja nie przeżyłem?...” Albo: „Gorzka starość...”

...Ma się pewne obowiązki wobec małp i papug—zarzucił mój wzrok surowo — było jej nie kupować, jeżeli wystarcza ci własna melancholia. A skoro ją raz kupiłeś, to musisz bawić się w konwersacyę, choćby wszystkie struny twej duszy jęczały ze zgryzoty. Widzę z rysów twej popielatej twarzy, że musisz być dobrym człowiekiem. To zawzięte marszczenie czoła nic nie znaczy. To nie jest złość, tylko cierpienie. Jesteś mimo wszystko niezły chłopak, ale powinieneś zwracać większą uwagę na psychiczne potrzeby swej papugi. Pomyśl sobie, że to stworzenie ma niesłychanie dużo opętanego gadania, które aż piszczy za wolnością. Pomyśl sobie...

Mój wzrok nagle oniemiał. Coś bardzo ciepłego i miękkiego położyło mi się na oczach. Jednocześnie uczułem zapach fijołków, który objął miłośnie mą duszę.

Odwróciłem się... kobieta.

— Kto pani?

Zaśmiała się cicho.

— Ha, ha... dobry wieczór.

— Dobry wieczór — odpowiedziałem, czerwieniąc się po uszy.

Mogę powiedzieć otwarcie, że miała nagie ramiona i rozpuszczone włosy. Czy słyszał ktoś co podobnego? Była, bądź co bądź, w stroju białym, powiedzmy: domowym.

Czekałem, co teraz będzie.

— Pan mnie przecież zna — powiedziała tak

jasnym głosem, jakby była pewna, że zrobi mi niespodziankę.

Byłem zakłopotany. Nie, to się tak nie da... trzeba zobaczyć przy lampie.

Nie poznałem jej i przy lampie. Cóż teraz zrobić? Byłem zakłopotany.

— Pan mnie przecież zna — powtórzyła tak wesoło, jak przedtem.

Nie, nie znam. Jakby to jej powiedzieć? „Niestety, nie mam przyjemności..." czy jak?.. Bóg mi świadkiem, że nie wiem, co się mówi w takich nagłych wypadkach. Powiem: „Nie mam przyjemności" całkiem poprostu.

Ale ona już wiedziała, że jestem zakłopotany.

— Niech pan sobie przypomni...—powiedziała łagodnie i sympatycznie — niech pan tylko pomyśli...

Pogłaskała mnie nawet delikatnie po ręce. Bardzo przyjemnie.

Teraz niezadługo sobie przypomnę. Z pewnością. To się zawsze czuje przedtem, wie z góry: za chwilę sobie przypomnę... Chociaż na razie...

Te oczy... Boże, te ogromne, piwne oczy i ta blada twarz i usta...

— Pan mię przecież zna...

Może krewna. Bawiły się ze mną przed dwudziestu laty trzy małe córeczki dalekiego stryja. Wszystkie trzy w białych sukienkach...

— Niech mi pani pomoże. Kilka szczegółów. Przecież wiem już teraz, że panią znam. Tylko nie wiem, jak i co...

Córeczki dalekiego stryja nie były z Amsterdamu. To coś podobnego, ale nie to. Mniej więcej ta sama okolica mózgu, czy przeszłości. Ale nie to. Jej oczy mówią wyraźnie „ciepło, ciepło..."

...Ale nie to.

— Niech pan sobie przypomni.

Wiem, że ją znam. A cała tajemnica w oczach. Ta twarz rozumie się niejako sama przez się. Ta twarz, to coś tak znajomego, jak moja własna. Widzę ją w każdym razie codzień. Ale gdzie? Widzę ją codzień.

— Ja panią znam.

Pocałowała mnie nagle w usta. Tak, to ona. Ale kto? Ona. Ta jedyna, jedyna...

— Powiedz mi, jak się nazywasz. Chce mi się płakać, bo nie mam bliższej sobie istoty. A nie wiem, jak cię nazwać. Wymów swe imię, ażeby spadły jakieś mgły, które są między mną a tobą. Żebym zobaczył, czy jest dla nas ten sam świat, to samo słońce, te same drzewa i ulice. Wymów to jedno słowo. Bo inaczej będę myślał, że znam cię tylko ze snu.

Schyliła się i zbliżyła swoje usta do mego ucha, żeby wymówić to „jedno słowo". Ale nagle otworzyły się drzwi... a ona uciekła ze strachu do drugiego pokoju.

Wszedł—smutny pan z przeciwka.

— Przepraszam...—powiedział markotnym, ale spokojnym głosem—przepraszam, że przeszkadzam

Ale chciałbym zobaczyć, czy niema tu przypadkiem...

Powiódł dokoła wzrokiem, jakby szukał jakiegoś przedmiotu.

— Czego, proszę pana?

— Czy nie ma tu przypadkiem mojej żony...

Spojrzałem na niego ze ździwieniem.

— O!... pan żartuje. Zdaje mi się nawet, że pan nie ma żadnej żony. Pan mieszka przecież tu zaraz naprzeciw.

Szukał dalej.

— Tak, mieszkam tu zaraz naprzeciw, ale... mam żonę, owszem, mam żonę.

Poszedł nagle do drugiego pokoju i natychmiast wrócił, prowadząc za rękę kobietę z rozpuszczonemi włosami.

— Dziękuję, znalazłem — powiedział do mnie uprzejmie.

A potem do niej:

— Chodź do domu...

— Panie, to musi być pomyłka! — skoczyłem do drzwi i wziąłem kobietę za rękę.

Ale pan z przeciwka rzekł z gorzkim, smętnym uśmiechem:

— To nie pomyłka, to moja żona...

— Ależ... ja ją znam!..

Kobieta rzuciła mi się z płaczem na szyję.

— Ja ją znam — szeptałem, wdychajac w siebie zapach fijołków, który łączył się miłośnie z mą duszą.

— To się panu zdaje — powiedział pan

w okularach — daję panu słowo, że to się panu zdaje.

I zaniósł ją w ręku, jak kanarka.

— Uprzejmie dziękuję—powiedział jeszcze raz w przedpokoju.

Nie spałem całą noc. A stróżowa powiedziała mi, że to naprawdę jego żona.

Jeżeli się ma dużo czasu i dobrej woli, to można stać cały dzień przy oknie i czekać, aż się zjawi na ulicy pewna osoba. Wtedy bierze się kapelusz i biegnie się na dół. Zresztą to nie była ona, tylko jej mąż. W każdym razie nadzwyczajna sposobność.

— Panie, na chwileczkę! Korzystając ze znajomości, chciałbym się spytać, czy nie sprzedałby mi pan papugi albo...

— Nie mam żadnej papugi.

— ...albo małpy. Chcę właściwie małpy.

— Nie wiem, dlaczego pan przypuszcza... Nie posiadam.

— Byłbym przysiągł, że pan posiada. Mieszkam przecież naprzeciwko i nie chcąc wiem niejedno. Pan siedzi wieczorami przy oknie, a nieraz mówi pan coś do ciemnego pokoju...

— Zresztą nie ma pan żadnego życzenia?

— Nie. Pozwolę sobie tylko zauważyć, że mam ogromnie dużo książek w kuferku. Przyjemnie czasem wieczorem coś przeczytać zamiast siedzieć przy oknie i patrzyć na ulicę. Czy pan nie ma dreszczu na plecach, gdy pan czuje za sobą ciemny pokój? Dostaję także codziennie gazetę w trzech

językach. Po francusku, po angielsku... co pan woli. Czytałem wczoraj niezmiernie ciekawy artykuł o trąbie morskiej. Jestem pewny, że to pana zainteresuje.

Potem spytałem delikatnie:

— Jak się ma pańska żona?

Zaczerwienił się i mruknął:

— Dziękuję.

Szedłem z nim bardzo długo i opowiadałem mu o swoich podróżach. Czasem się uśmiechał jednem okiem i przecierał chusteczką okulary. Widocznie bardzo dobrze się bawił. Nawet robił czasem krótkie uwagi.

Przeszliśmy razem do parku i siedliśmy na ławce. Spytałem go delikatnie:

— Jak się nazywa pańska żona?

Zachmurzył się i powiedział:

— Niech pan lepiej skończy o Pompei i Herkulanum. Niech pan nie mówi ciągle o mojej żonie.

Czułem, że zbladłem.

— Bardzo pana przepraszam, ale chciałbym się dowiedzieć... Od czwartku o niczem innem nie myślę. Przyznam się panu otwarcie, że nie śpię w nocy, bo nie mogę sobie przypomnieć, zkąd znam pańską żonę.

Uśmiechałem się. Ale czułem, że zbladłem.

Pan w okularach machnął ręką.

— Pan jej wcale nie zna... tylko...

— Tylko?

— Tylko ona jest... hm...

Skrzywił się boleśnie i splunął. Potem spytał:

— A mumie są?

— O czem pan mówi? — spytałem ze złością.

— O Herkulanum. To śmieszne, że pan ma łzy w oczach. Daję panu słowo, że ona panu wmówiła.

To śmieszne, że miałem łzy w oczach.

— Jak to mi wmówiła?

— No tak, jak wielu innym. O czem tu gadać! Daję panu słowo, że ona chora. Mam z tego powodu ciągłe kłopoty.

Opowiedział mi o kłopotach. Pokazało się, że trzeba na nią ciągle uważać, jak na ptaszka. Bo jest chora.

Uderzył mnie w kolano.

— Bardzo przyjemnie mówi się z panem... Tylko niech pan już da spokój mojej żonie.

Poszliśmy nawet razem na piwo.

Ale na drugi dzień zobaczyłem ich razem.

— Ja ją znam! — krzyknąłem prawie głośno.

Śniła mi się już, gdy byłem dzieckiem. Znam ją lepiej, niż matkę, niż siostrę, niż wszystkich ludzi. Mogę zamknąć oczy, a wiem, jak wygląda.

Kiedy siedzę wieczorem przy oknie i patrzę na ulicę, to zaraz wiem, po co przyjechałem do Amsterdamu. Mógłbym płakać całemi godzinami, a łzy nie przestałyby sprawiać mi rozkoszy. Byłem jeszcze dzieckiem, a już wiedziałem, co mnie czeka. Na to człowiek żyje. Byłem jeszcze dzieckiem...

Są wsie i miasta bez nazwy, które znam tak, jak tę kobietę. Jest cały świat bez nazwy, który

znam tak, jak tę kobietę. Czasem słyszę ztamtąd głosy... Albo ktoś uśmiechnie się zdaleka i kiwnie do mnie białą chustką... Zdaleka... Coś zapachnie z morza, gdy stoję w nocy na pokładzie. Albo coś zagra w lesie. Jest gdzieś cały świat bez nazwy...

— Proszę pana, przyszedłem...

— Czego pan chce?

— Przyniosłem gazety w trzech językach.

— Powiedziałem panu wczoraj, że u mnie niewygodnie. Po co pan przyszedł? Jeżeli pan chce, to możemy pójść do parku.

— Jak się ma żona?

— Dziękuję.

W mieszkaniu pachniały jej fijołki. Ale on prawie wyrzucił mnie za drzwi. Drżałem jeszcze na ulicy ze wzruszenia.

Spostrzegłem, że i on źle wygląda.

— Pan chory — zauważyłem po drodze.

— Mam ciągłe kłopoty.

„Aha! — pomyślałem z radością — sam będzie mówił o żonie".

Ale on uśmiechnął się złośliwie jednem okiem.

— Co panu do mojej żony? Panu się wydaje, że pan jedyny człowiek, który ją zna. Ale znają ją najrozmaitsi ludzie. Pan nie ma pojęcia... Ona ma coś takiego w oczach.

— Nikt jej tak nie zna, jak ja!

Zaśmiał się, jak skrzypiący wóz. Ale zaraz potem posmutniał i westchnął.

— To nie jest najgorsze...

— Co?

— To, że mam z nią ciągłe kłopoty...

Pierwszy raz tyle o niej mówił.

— Ale to jest najgorsze, że... że... jakby panu powiedzieć?... Tylu ludzi ją zna, a ja jej nie znam.

Spojrzał mi bystro w oczy.

— Uważa pan: tylu ludzi ją zna, a ja, mąż...

— Pan, mąż...

— Jej nie znam.

— Hm...

— Nie znam.

Nigdy w życiu tyle o niej nie mówił.

— Ale jest przecież nietylko moją żoną, lecz i kuzynką. To niejako moja krew. Dziadek, który zbankrutował, miał niegdyś ten wielki dom handlowy nad kanałem. Znałem dziadka. Znałem jej ojca. Znam miasto, w którem się urodziła, bo to nasz Amsterdam, uważa pan...

— Wasz Amsterdam.

— Znam od dziecka wszystkie te miejsca, które zna ona. Bo ona jest z tego samego świata, co ja.

— Pan myśli?

— Ona jest z Amsterdamu. Znam wszystko, co ona widziała, słyszała i przeżyła od dziecka. A jej...

— Jej pan nie zna.

Otworzył szeroko oczy, jakby się zdziwił, że wiem tajemnicę, którą mi sam powiedział.

— Naprawdę jej nie znam. A nawet boję się

jej oczu, nienawidzę jej duszy. Z początku nie wiedziałem nawet, że jest chora. Tak jej nienawidziłem, że byłem zaślepiony jak z miłości. I nie czułem, że jest tylko chora.

— A zkąd pan się dowiedział, że jest chora?

— Przyjechał do Amsterdamu murzyn z Afryki, który miał złote kolczyki i strasznie białe zęby...

— Murzyn?

— Był tak samo natrętny, jak pan. Mówił ciągle, że ją zna. Krzyczał za mną na ulicy: „Ja ją znam"!

— I co?

— Ona mu to wmówiła. Jej chore oczy mu to wmówiły tak, jak panu. Ona jest niebezpieczna. Ona mi zepsuła życie...

Serce biło mi młotem.

— Pan jej nienawidzi — powiedziałem cicho — a ja... Dlaczego pan się z nią ożenił?

Uśmiechnął się jednem okiem.

— Ot! ożeniłem się. Bo taka była historya: Mówiłem panu o domu handlowym jej dziadka, u którego mój ojciec był prokurzystą. Otóż nim jej dziadek zbankrutował, uważa pan... Ale pan nie uważa!

— Nie uważam, — powiedziałem drżącym głosem — bo myślę ciągle, że chciałbym być na pańskiem miejscu.

— He, he!..

— Dałbym panu z ochotą swoje życie, a niech mi pan da swoje. Przyjmę nawet ten ciemny po-

kój, w którym pan mieszka. A dam panu wszystko, co mam.

— Jaki pan śmieszny!

— Panie, błagam pana na klęczkach, niech pan mnie zrozumie! Dam panu przecież wszystko, co mam. Niech pan sobie idzie, a ja zostanę. Nie będzie pan miał ciągłych kłopotów. Pojedzie pan do Pompei i Herkulanum. Pan jej nienawidzi. Ona ma chore oczy. Jej dziadek zbankrutował. Pan jej nie zna, a ja...

— He, he!..

— Ja ją znam! ja ją znam! Niech mi pan da to szczęście, którego pan nie chce. Panie, panie...

— To nie można.

— Dlaczego? Dlaczego nie można?

— Bo to moja żona... he... he!..

— Niech pan się nie śmieje w takiej chwili! Niech pana dyabli wezmą! Błagam pana na klęczkach.

— He, he... U nas, w Amsterdamie nie można...

— Niech pana dyabli...

— U nas... he, he!.. w Amsterdamie, bierze się żonę na całe życie.

Ta rozmowa śni mi się nieraz po nocach. Jeszcze dzisiaj. I wcale nie płaczę. Przeciwnie, wtedy jestem najszczęśliwszy. Bo Amsterdam należy do najpiękniejszych miast w Europie. A te sny mają dziwnie miły zapach fijołkowy, który łączy się miłośnie z moją duszą.

---

# SALA KONCERTOWA.

Była raz idealna sala koncertowa. Nie duża. (jak wszystkie prawdziwe perły) ale czuła i wrażliwa, jak serce wybornych skrzypiec. A posiadała tem większą wartość artystyczną, że o jej istnieniu nikt w mieście nie wiedział. Nawet właściciel, gospodarz domu, nie znał jej wartości (jak zwykle właściciele pereł). Spoczywały więc w idealnej sali koncertowej stare i życiem zmęczone rowery, wytańczone suknie balowe, pożółkłe, dawno przeczytane książki i inni weterani z anorganicznego świata. Oprócz tego czekało tam w ukryciu kilka flaszek słodkiego wina; tak jak dojrzałe panny czekają na mężczyzn.

Czułe i wrażliwe ściany tęskniły za nokturnami Szopena, za dziewiątą symfonią Beethovena i za sonatą à la Kreutzer...

Akustyka ich zachowała się przedziwnie w tęsknocie, a nawet z każdym dniem jeszcze rosła i rosła.

...Potem miasto dostało nowego starostę.

Miał młodą żonę, tytuł hrabiowski, dużo ambicyi i inne... obowiązki reprezentacyjne.

— Trzeba działać... Trzeba coś robić—myślał w dzień i w nocy.

Bądź co bądź postanowił nająć całe piętro i przyjmować *tout le monde* we wszystkie nieparzyste piątki.

Najął całe piętro, wraz z idealną salą koncertową, która wyglądała napozór, jak zwykłe sale śmiertelniczki. Ale pan starosta miał sławne oko, które już na pierwszy rzut wiedziało wszystko. Spostrzegł więc przedewszystkiem, że na suficie są jakieś malowane śliczności z osiemnastego wieku.... I że naprzykład sala ma kształt kwadratu i jeszcze inne przymioty towarzyskie.... Wiedział wszystko, do czego nie potrzeba ucha... Albowiem jego ucho nie było tak dobrze urodzone, jak oko.

— Czy będzie koncert?—spytał sufit.

— Zdaje mi się—odpowiedziała jedna ze ścian poprzecznych.

— Ciekaw jestem, czy śpiew, czy fortepian, czy cała orkiestra—szeptała ściana z oczami...

Ściana z oczami nie była tak muzykalną, jak jej towarzyszki. Dlatego mogła rozważać już na zimno szczegóły, podczas gdy tamte ściany czuły tylko dreszcz radosny: będzie deszcz dźwięków... będzie muzyka...

Na razie czekała ich jednak nieprzewidziana choć nie długo trwająca przykrość.

Ktoś otworzył okna i do sali weszło z szumem i hałasem ordynarne powietrze...

A idealna sala koncertowa nienawidziła powietrza. Zaczęła drżeć z zimna, kurczyć się... a czułe jej serce przez jakiś czas bić przestało...

Potem kazał pan hrabia zamknąć. I sala koncertowa przyszła do siebie... A do wieczora była już w najlepszym humorze... Zwłaszcza, gdy zapalono świece i powstał ten rozkoszny nastrój, w którym tony fortepianu i skrzypiec żyją swobodnie, jak mewy w nadmorskim klimacie...

Tymczasem cicho i strasznie zbliżało się fatum.

O pół do dziesiątej pokazało się, że nie będzie koncertu, tylko najbanalniejszy *jour*, najpodlejsze przyjęcie pod słońcem... I sala koncertowa zaczęła się mścić, mścić...

Burza zapowiadała się, zanim przyszli pierwsi goście.

...Bo kiedy pani hrabina weszła do sali, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku, nagle przyszło jej na myśl:

— Ciekawa jestem, czy będzie ten młodziutki, różowy chłopiec, którego widziałam onegdaj na rynku...

Ledwie to pomyślała, kiedy lokaj, idący za nią, odrzekł z głupim uśmiechem:

— Nie wiem, proszę pani hrabiny... Jeśli zaproszony, to chyba i będzie...

Pani starościna stanęła, jak wryta.

— Co to jest? Czy jestem chora? Mówię głośno to, co myślę...

— Chora?—zdziwił się lokaj.

— Milcz! — krzyknęła pani hrabina, zbladła, przeszły ją straszne dreszcze i o mało nie zemdlała.

Spojrzała na lokaja, który patrzył na nią dziwnie poufałym, prawie bezwstydnym wzrokiem.

Gdyby żyła w innych czasach, kazałaby tego niewolnika rzucić na śniadanie dzikim zwierzętom... Bo to, co słyszał o młodziutkim, różowym chłopcu...

Pani hrabina poprostu zgasła, pomimo, że jeszcze nie zaczął się wieczór. Ogarnęła ją szalona trwoga... Są pewne rzeczy, których człowiek się trzyma, jak pijany płotu... A do tych pewności należy i to, że jego myśli nie mają głosu.

Pani hrabina straciła grunt pod nogami... Siadła cichutko na fotelu, złożyła ręce na piersiach i czekała, co będzie... Czekała, aż ją wezmą i zawiozą do domu waryatów...

Ale odezwał się dzwonek. I pani hrabina się zbudziła. Przeszła do drugiego pokoju. Jej automat, zwany twarzą, zaczął robić towarzyski uśmiech.... Stanęła i przygotowana była na przyjęcie gości...

A koło niej stanął, w tej samej pozycyi i z tym samym uśmiechem, jej mąż , pan starosta...

I drzwi się otwarły i weszło kilka osób... Dwa podle zrobione fraki i trzy przez miejscową krawcowę przeinaczone eks-ślubne suknie...

— Co za figury! — pomyślała pani starościna. I przytem ogromnie się ucieszyła, że może znowu myśleć pocichu...

— Jak marzenie, wygląda kochana pani — rzekła do burmistrzowej...

Wzięła „marzenie" pod ramię i zaprowadziła je do idealnej sali koncertowej...

Ale zaledwie się znalazła w tej przebiegle akustycznej sali, zaczęła się toczyć rozmowa, jak gorączka, w której brały udział wszystkie zaproszone osoby, (o ile także weszły do sali) i jej mąż i ona sama, mimowoli, ona sama (jak we śnie), rozmowa dziwnie bezwzględna, pełna sprzeczności, wprost potworna w swej szczerości, okropnie zagmatwana, rozmowa, jak skandal... straszna, nieprawdopodobna...-

— Ślicznie państwo mieszkają—zaczęła uprzejmie pani burmistrzowa i dodała zaraz jakimś innym głosem:

— Naturalnie, jak się kradnie... Gdyby mój mąż kradł tak, jak twój, to mielibyśmy także meble Louis XIV...

— Wogóle jestem głodny—zauważył jakiś samotnik siedzący w kącie...

— Czy pani była na wystawie obrazów? — spytał gruby komisarz panią sekretarzową...

I dorzucił:

— Z największą przyjemnością pocałowałbym cię w szyję... Tak, śliczna wystawa... Szkoda, że ci brakuje dwóch przednich zębów.

A do młodego praktykanta mówiła starsza matka dwóch niewydanych córek:

— Dlaczego kochany pan tak rzadko nas odwiedza... Smarkaczu jakiś nie mówiłabym ja z tobą, gdyby nie to, że, że może ożenisz się z Ewunią... Niedawno temu pytała się moja córka Ewu-

nia, dlaczego pan Izydor tak dawno u nas nie był... Ale jeżeli nie masz majątku, to naturalnie nie potrzebujesz się trudzić... W najgorszym razie dam ci i młodszą... ale się ożeń, błaźnie, ożeń się...

Wszedł lokaj, niosąc na tacy szklanki z limonadą i powiedział:

— Wolelibyście wino... Naturalnie.... Czego jeszcze? Ha, ha... Musicie udawać, że wam smakuje... Woda z cukrem... Nie ma tu ani jednej baby tak ładnej, jak Frania, pokojówka... Na zdrowie!... Niech żyje Frania!...

— Kiedyż będzie właściwie kolacya? — pytał zniecierpliwiony samotnik.

Do bladego radcy sądowego przystąpił starszy adjunkt...

— Jakże szacowne zdrowie pana radcy?

— Dziękuję, nieźle...

— Jakto? Chyba nie wiesz, że masz raka.

— Co?!...

— Nic... Chwała Bogu, że nieźle... Ale w każdym razie umrzyj... Cały sąd już czeka... Opróżni się choć jedna posada... Nie bądź tak nieużyty... Umrzyj!...

Podczas tego rozmawiał w drugim pokoju gospodarz z dwoma młodszymi urzędnikami starostwa.

— Oto moje intencye, kochani panowie—kończył rozmowę — spodziewam się, że mnie rozumiecie...

— O, panie hrabio! — wykrzyknął z zachwytem Benjaminek.

A młody komisarz szeptał:

— Odkąd mamy pana starostę, zaczęło się u nas nowe życie... Wieje coś świeżego...

— Duch czasu...

Przeszli do idealnej sali koncertowej.

— Zresztą — dorzucił komisarz — gdybyś nie był hrabią i nie miał pieniędzy, byłbyś największym osłem w środkowej Europie.

— Twoja żona jest bajecznie zbudowana — westchnął Benjamin z melancholijnym uśmiechem....

Pan starosta zbladł i spojrzał na obydwóch osłupiałym wzrokiem...

Jednocześnie zauważył w sali kilka dziwnych spojrzeń i obłąkanych ruchów. Na kanapie leżała jakaś dama zemdlona, a dwie inne śmiały się spazmatycznie...

Szybko skoczył do swojej żony.

— Na miłość Boską... co tu się dzieje?

— Nie wiem—odpowiedziała.

A potem zemdlała także.

Za kilka godzin przenieśli pana starostę do innego powiatu.

---

# KONCESYA.

Miałem wrażenie, że nad głową przyjaciela mego, Anatola, wisi miecz Damoklesa. Przedewszystkiem: pił stosunkowo za dużo, t. j. więcej, niż zazwyczaj. Powtóre: mówił stosunkowo za dużo, t. j. nie tylko rzeczy najkonieczniejsze, jak zazwyczaj. Po trzecie: zapewniał mnie ciągle, że jest w dobrym humorze, więc zapewne bał się czegoś złego od losu.

A losem mego przyjaciela, Anatola, była jego żona.

Kobieta piękna i dobra, ale o... dwadzieścia lat od niego młodsza.

Gdybym ja miał żonę o dwadzieścia lat od siebie młodszą, miałbym bezwarunkowo uczucie, że wisi nademną miecz Damoklesa. A więc i on musiał mieć to uczucie.

Nie pytałem się go o żonę. Sam zaczął. A wiedziałem już pół godziny przedtem, że sam zacznie.

— Trzeba ci wiedzieć — mówił, robiąc pogo-

dny, a nawet filuterny wyraz twarzy — że moja żona ma dwadzieścia lat, gdy ja mam czterdzieści..

— A!—zdziwiłem się uprzejmie, bo patrzył mi wyczekująco w oczy.

— Słowo honoru — zapewniał głośno, choć zdziwiłem się tylko słabo.

I jeszcze dodał:

— Tak jest rzeczywiście... chociaż mógłby ktoś myśleć, że trochę przesadzam.

Nie myślałem bynajmniej, że on trochę przesadza. Ale powiedziałem jeszcze raz „A!" żeby mu zrobić przyjemność. Potem całą kwestyę uważałem za ostatecznie załatwioną. I zacząłem robić spokojnie gałki z chleba, aby mieć pewien zapas po walki z panną Herminą, która stała za bufetem.

A po chwili rzekłem.

— Mają u nas wakować cztery posady starszych radców skarbowych: Dowiedziałem się w departamencie dwudziestym. Jeżeli to prawda, to do roku ty i ja...

Ale on mi przerwał:

— Wiesz, co powiedziałem niedawno do mojej żony? Mam dwa razy tyle lat, co ty, moja droga. Proszę cię, zastanów się nad tem... Tego roku składa się tak pięknie, że możesz powiedzieć wszystkim: „Mój mąż ma dwa razy tyle lat, co ja"... Potem będę wprawdzie zawsze o dwadzieścia lat od ciebie starszy, ale ta różnica nie da się już nigdy wyrazić tak efektownie... powiedziałem „efektownie"... jak właśnie w tym roku... Ha, ha... Dobre—co?...

Śmiał się nienaturalnie.

— Dobre... co?—pytał natrętnie.

Mruknąłem:

— Hm...

I robiłem dalej gałki.

— Więc śpiesz się—mówiłem—śpiesz się, Loleczko, z graniem młodej żony starego męża... Ha, ha...

Zaczął mnie irytować.

— Nie rozumiem...—rzekłem sucho — po co... w jakim celu powiedziałeś to żonie.

Wytrzeszczył oczy.

— Nie rozumiesz?... To moja metoda.

Uśmiechnął się chytrze. Napił się wina, przysunął się do mnie i mówił cicho:

— Moja metoda polega na tem, że... psuję jej z góry każdą romantyczną przyjemność... Rozumiesz? Jestem niejako sikawką, funkcyonującą *przed* pożarem... O dwudziestu latach różnicy wieku mogłaby sobie sama kiedyś pomyśleć...

— Ale ona to przecież wie!

— No, tak, wie... ale tu chodzi o formę. O to, że „mój mąż ma dwa razy tyle lat, co ja"... U kobiet jest wszystko kwestyą formy. Więc żeby sobie nie pomyślała kiedyś sama w tej formie — albo żeby jej ktoś... hm... jakiś... ktoś... tego w ten sposób nie powiedział, więc ja jej to mówię naprzód. Drwię z góry z roli *d'une femme incomprise*, zanim ona tę rolę grać zacznie... Rozumiesz?

Zacząłem trząść głową.

— Jesteś wstrętnie skomplikowaną małpą.

Ale on tego nie dosłyszał. I ciągnął dalej:

— Niema co mówić, małżeństwo to polityka... I jak zawsze w polityce zwycięża zimny rozsądek. A ja...

Popatrzyłem na niego, bo byłem ciekaw, czy powie: „a ja mam zimny rozsądek". Ale powiedział:

— ...A ja jestem synem kupca i nauczyłem się od dziecka brać rzeczy praktycznie. Lubię, panie tego... muzykę i t. d., ładną książkę i t. d... ale nienawidzę romantyzmu w życiu. Nienawidzę. Bo z tego pochodzi wszystko złe. Miałem kolegę, także był taki... no i w końcu zastrzelił się, czy jest w Ameryce. Ona jest z innej klasy, a ja jestem z innej klasy. Ona jest z tej klasy, gdzie mają mało pieniędzy, a dużo czasu.

Zaczynał być niedyskretnym.

Powiedziałem z naciskiem:

— Zeszłego roku była o wiele cieplejsza wiosna, niż tego roku. Jest tylko osiem stopni w cieniu... A z Wenecyi telegrafują, że jest siedem stopni.

Spojrzał na mnie z pewnem zawstydzeniem. Dodałem:

— Reaumura.

Chwycił mnie za guzik, czego bardzo nie lubię.

— Ja kocham żonę... To jest znana rzecz. I ona mnie kocha... Nie myśl, że ten rys jej charakteru...

— Jaki rys jej charakteru?—spytałem, bębniąc palcami.

— No... ten jej romantyzm...

— To nie rys charakteru, tylko... dwadzieścia lat.

— Wszystko jedno — przerwał mi niecierpliwie—dosyć, że ma pewne skłonności do przesady... w życiu... Nie da się zaprzeczyć, że ma pewne skłonności do przesady. To nic złego. Ale w niej coś jest. Ona widzi wszystko inaczej, jak jest. Ja ci coś powiem... ale ty mnie nie zrozumiesz... Ona chce, żeby wszystko było inne, jak jest, więc widzi wszystko tak, jak chce. Ty mnie nie rozumiesz... ale ona chce np. żebym ja był inny, jak jestem...

— O, to rozumiem—mruknąłem niegrzecznie.

— Chce, żebym ja był taki romantyk... uważasz... taki, co ma dziwne życie i dziwne przygody w życiu... Taki, co ma jakieś straszne tajemnice, np. dwie żony... albo coś w tym guście... Nie uwierzysz, jeżeli ci powiem, że chociaż ona mnie kocha, to jednak myśl, że są na świecie jeszcze inne kobiety, które ja mógłbym kochać... albo którym...

Spuścił oczy.

— ...Którym ja sam nie byłbym obojętny... nie byłaby jej przykra... ale przeciwnie... rozumiesz?... przeciwnie... nawet przyjemna...

Chwycił mnie znowu za guzik.

— Czy to nie szaleństwo?... Kocha mnie... bezwarunkowo ogromnie, a przecież chciałaby, żeby... W głowie ci się miesza. To jest właśnie ten rys jej charakteru. To jest właśnie objaw tego romantyzmu, z którym ja walczę... walczę...

Otarł pot z czoła i dokończył cicho:

— ...Z powodzeniem.

Spojrzałem mu w oczy.

— Z powodzeniem—powtórzył wyzywająco — i to właśnie za pomocą tej metody, tej... mojej metody, o której ci mówiłem... Kobietę trzeba wychowywać. Jestem nieubłagany. Możesz sobie pomyśleć, ile mnie to samego kosztuje. Ale przysiągłem sobie: żadnych koncesyi, żadnych koncesyi!...

Patrzył niespokojnie na prawo i na lewo, jak człowiek, bojący się zamachu. Ale machał energicznie ręką.

— To jedna droga—mówił coraz głośniej—być sobą, być zawsze sobą, być zawsze sobą... Nie ustępować ani kroku, nie sprzeniewierzać się własnej indywidualności. Oblewam ją ciągle zimną wodą... Mówię jej ciągle: „Moja droga, życie jest takie, a takie... Życie to zadanie rachunkowe, nie powieść francuska. Poważny mężczyzna patrzy trzeźwo na życie. Poważny mężczyzna nie jest taki, jak ty go sobie wyobrażasz. Wyszłaś za urzędnika, moja droga. Wyszłaś za syna kupca, nie za człowieka, który ma dużo czasu“... Tego wszystkiego jej nie mówię, uważasz, ale całem swojem postępowaniem, że tak powiem... wskazuję jej drogę... Powoli i nieznacznie przerabiam ją na innego człowieka. Otwieram jej nowe... hm, tego... horyzonty życiowe...

— Brawo!—zawołałem, udając entuzyazm.

Popatrzał na mnie z podełba.

— Rozumie się—mówił trochę ciszej — że to nie łatwo... Ot, jak wogóle z wychowaniem... Trzeba być ciągle *sur le qui vive*, ciągle na nowo wycho-

wywać... Ona ma bardzo niespokojną rodzinę. Tam się zawsze coś dzieje. Różne szkodliwe rzeczy.

— Jak to szkodliwe rzeczy?

— No... rozumiesz... takie zdarzenia, które mi psują wychowanie Loli, bo ją strasznie zajmują, podniecają jej chorobliwą fantazyę... jej skłonność do przesady w życiu... Różne szkodliwe rzeczy... Np. jej kuzyn jest rzeźbiarzem. Uda mu się jaka figurka, to zaraz robi się hałas i wszyscy o tem mówią... Lola była u rodziców i wraca do domu z czerwoną twarzą. Nie lubię, kiedy Lola ma czerwoną twarz... „Czy wiesz?... Antoś dostał złoty medal!“ — „No i cóż to wielkiego? — mówię całkiem zimno — cóż w tem dziwnego? Zrobił porządnie swoją robotę i koniec. Gdyby były dla urzędników złote medale, to twój mąż dostałby nieraz, nie dwa... ale 365 razy w roku... Bo twój mąż robi codzień porządnie swoją robotę“... Dobre... co?...

— Dobre—mówię, przypatrując mu się uważnie.

Był coraz bardziej podniecony, wiercił się na krześle i machał rękoma.

— Ona mnie kocha... bezwarunkowo ogromnie... ale to dziecko. I mój rozsądek musi ciągle walczyć z jej przesadną fantazyą...

— I twój rozsądek naturalnie zwycięża — powiedziałem ironicznie.

Anatol uśmiechnął się tryumfująco. Spojrzał na mnie wzrokiem, przenikającym moją ironię i powiedział cicho:

— Nie śmiej się... Od kilku dni jestem naj-

szczęśliwszym mężem w świecie... Od kilku dni żona moja kocha mnie tak, jak...

— Cóż jest właściwie powodem tej zmiany?

Zmrużył tajemniczo oczki.

— Powodem tej zmiany jest, że Wanda Mokrzycka rzuciła się z okna.

— Jakto?

— No, mówiłem ci, że to niespokojna rodzina. Tam się ciągle coś dzieje... Kuzyn dostaje złoty medal. Kuzynka rzuca się z okna...

— Wanda... Wanda... Czekajże... Coś o niej słyszałem... Że się w tobie kochała... czy...

Anatol się uśmiechnął.

— To nieprawda — rzekł mi prawie do ucha.

— I ja tak myślałem — szepnąłem, patrząc na jego łysinę—ale zkąd powstała ta plotka?

— Moja żona rozpowiada to wszystkim... Jest przekonana, że ja jestem powodem tego sensacyjnego samobójstwa....

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

— Ależ ty jej przecież wytłomaczyłeś, że...

Spoglądał na pół chytrze, a na pół ze strachem.

— Ja jej nic nie wytłomaczyłem... Przeciwnie.

— Przeciwnie?...

Zaśmiał się cicho.

— *Mon cher*... (mówił zawsze „*mon cher*“ pod wpływem alkoholu)... cóż chcesz?... Lola była u rodziców i wraca do domu z czerwoną twarzą... Nie lubię, jak Lola ma czerwoną twarz... Ale tym razem oczy jej były takie dziwne... Błyszczały one a przytem były zamglone... „Czy wiesz, że Wanda

rzuciła się z okna“?... Chciałem ją zaraz oblać zimną wodą. Chciałem zacząć: „I cóż w tem wielkiego?... Co rok rzuca się tyle a tyle waryatów i t. d.“. Ale Lola chwyciła mnie za rękę... „Tolku, przyznaj się... ty wiesz, dlaczego ona to zrobiła“... Aha! — czuję nagle: ona myśli, że Wanda... „Przyznaj się, przyznaj się“ — błagają prawie jej oczy.... I naraz... ty mnie nie zrozumiesz — naraz ogarnęła mnie gwałtowna chęć, żeby powiedzieć jej to, czego tak gorąco pragnęła...

— I skłamałeś?...

— Nie... Tylko się nie broniłem... a raczej broniłem się tak słabo, że Lola nagle krzyknęła: „Wanda zabiła się dla ciebie“!... Potem odwróciła się, milcząc... A w chwilę później rzuciła mi się na szyję.., „Ty... potworze!... Wszystkie za tobą giną, wszystkie...“ I w tej chwili czułem, że kocha mnie tak, jak nigdy...

Nastała chwila milczenia.

— Mój drogi—zacząłem — ty jesteś...

— Hultajem... co?—spytał mnie Anatol.

— Nie... ale... niekonsekwentny... Zrobiłeś małą... ale dość niebezpieczną koncesyę... na rzecz... romantyzmu... twej żony.

— Niebezpieczną?...

Poruszył się niespokojnie na krześle...

— Myślisz?...

— Ty to sam czujesz — rzekłem bezlitośnie i zimno:

Patrzył na mnie bezradnie...

— Ale...

— Żadnego „ale“!... Należysz do piechoty zdrowego rozsądku... Sprzeniewierzyłeś się sobie, siadając na konia, z którego prędzej, czy później, zlecieć musisz... Nie byłoby sprawiedliwości, gdybyś nie zleciał...

Mierzyłem go surowym wzrokiem.

— Nad głową twoją wisi...

Chciałem powiedzieć, „miecz Damoklesa“.

Ale on spytał boleśnie:

— Co wisi?

Więc rzekłem:

— Wisi mój kapelusz... Podaj mi go i chodźmy z tej nudnej restauracyi.

# MAŁA OPERACYA.

Narcyz Rymowski stał pewnej nocy wiosennej przy otwartem oknie i używał — nocy wiosennej. Nie używał jej dla siebie, tylko dla literatury. Więc noc bladła z oburzenia, jak panna, którą kochają tylko dla posagu. Ale Narcyz na to nie zważał, tylko wdychał w siebie chciwie zapach śpiących bzów i krzewów — obok dymu egipskich papierosów. Nie był to ogród jego, tylko miasta i publiczności, ale to nie ma nic wspólnego z używaniem.

Zaś między ogrodem a oknem literata ciągnęła się opuszczona ulica, zalana księżycowem światłem.

Przez ulicę szedł mały człowieczek z siwą brodą, który niekiedy przystawał, przed bramą tego lub owego domu, jakby się namyślał, czy wejść, czy pójść dalej. I wszedł do kilku domów, zapewne tam, gdzie widział oświetlone okna.

„A ile razy wyszedł z takiego domu na ulicę, to jasne okna gasły"... Komponował z nałogu Rymowski, który się czepił tematu, że człowieczek

z brodą to—śmierć... choć w gruncie rzeczy myślał, że to stróż nocny.

Otóż przystanął ów staruszek także przed domem Rymowskiego i literatowi naprawdę zabiło serce, bo odczuwał dość intensywnie swój „temat". I o mało naprawdę nie zemdlał, gdy po chwili zapukano trzy razy dość silnie do jego pokoju.

Staruszek wszedł. I bez przygotowania zaczął mówić:

— Ma pan szczęście. Jestem taki dobry duch, który chodzi po ludziach i pyta: czy kto czego nie potrzebuje?...

— Niby handełes — szepnął nieśmiało Rymowski.

Ale za chwilę zawstydził się, że ma tak mało fantazyi. Bo staruszek nie handlował niczem, tylko całkiem bezinteresownie pytał: czy kto czego nie potrzebuje? Krótko mówiąc był dobrym staruszkiem z bajki.

Należało tylko powiedzieć całkiem poprostu: chcę tego, albo owego.

Rymowski miał tak mało fantazyi, że powiedział:

— Buteleczka od wina pusta... zdałoby się tego... hm... Nie mogę znaleźć srebrnej papierośnicy po dziadku... byłoby dobrze, gdyby... hm... Jutro trzeba czynsz zapłacić, a tu panie... hm... i t. d.

Nareszcie opamiętał się i umilkł. Staruszek przeszedł nad tem mruczeniem o papierośnicach i czynszu z taktem do porządku dziennego.

— Więc czego pan sobie życzy?—spytał. Tak,

jakby dotychczas Rymowski nie wyrzekł był ani słowa.

— Mam rozmiękczenie mózgu—rzekł do siebie Rymowski, i postanowił przez chwilę milczeć, a potem dopiero mówić.

Zaczął się namyślać:

— Czego ja sobie życzę?

Staruszek czekał cierpliwie. Rymowski milczał. Staruszek gładził srebrną brodę i czekał. Rymowski myślał... A po chwili rzekł głosem, ogromnie markotnym i cichym:

— Ja niechcę niczego.

Staruszek spojrzał na niego uważnie.

— Tak pan myśli? Każdy czegoś chce... Kto żyje, ten zawsze czegoś chce...

Rymowski uśmiechnął się cierpko i skinął głową:

— Właśnie. Kto żyje.

— A pan?

— Ja jestem — literat.

Dobry staruszek się zastanowił. A potem rzekł z pewną uciechą:

— A to już wiem. Pan chce czegoś chcieć...

Rymowski chwycił go za ręce.

— O!... Jaki pan inteligentny!...

— Innemi słowy: pan chce żyć.

— Właśnie.

— No tak, no tak... ale jak to zrobić?...

Rymowski zatarł ręce.

— A, to już pańska rzecz—powiedział, ciesząc się z kłopotu staruszka.

I zaczął szczebiotać:

— Od czego pan duchem?... Próbowałem hydropatyi, gimnastyki szwedzkiej, kuchni wegeteryańskiej, małżeństwa, powietrza górskiego.

Staruszek skrzywił się i machnął ręką. Literat zmieszał się i umilkł.

— Pół do trzeciej—rzekł staruszek:—nie mam już dużo czasu...

Rymowski wołał:

— Już wiem! — rzekł tryumfująco — niech mi pan nic nie da, tylko weźmie...

— Co?

— Mój tak zwany „talent literacki"!

Staruszek się zawahał. Potrząsnął głową.

— Ej, co też pan... Zawsze to szkoda... Taki dar... No a sława swoją drogą...

— Nie potrzebuję sławy — przerwał mu Rymowski — bo ją mam... Napisałem tyle, że wystarczy na nieśmiertelność...

— Do pewnego stopnia—dodał przezornie.

A potem, „nie chwaląc się", objaśnił staruszkowi, że należy niejako do powag, do wielkości z granitu... Przedwczoraj obchodzono z wprost bajeczną uroczystością dwudziestopięciolecie jego działalności na „niwie... i t. d."... Dostał złote pióro od panien niżej lat czternastu, tekę drogocenną od matron i t. d. Słowem już *jest*, już nie potrzebuje się starać...

Staruszek patrzał na niego z podełba.

— No, i pan myśli, że jak panu zrobię tę operacyę... czyli wyjmę z mózgu ten „talent literacki"...

to panu będzie lepiej?... To będzie pan używał lepiej piękności, szczęścia i burz tego świata?...

— Tak... Myślę...

Staruszek wyciągnął Rymowskiemu z mózgu tak zwany „talent literacki".

Potem pobłogosławił go i wyszedł tak prędko, że literat zapomniał nawet podziękować za przysługę.

Od tej chwili — było właśnie dwudziestego ósmego maja, trzy kwadranse na czwartą i niebo gorzało na cześć wstającego słońca — zaczęło się nowe życie dla nowelisty, Narcyza Rymowskiego.

Miał ciągle apetyt. Ciągle łaknął życia, ciągle czegoś pragnął, ustawicznie do czegoś tęsknił...

— Mam pragnienie, pragnienie.. .— myślał w dzień i w nocy—świat to mała piwnica.

Miał pragnienie...

Zabłysły dla niego nanowo barwy, zadźwięczały nanowo tony...

Przedewszystkiem miał trzy cudne obrazy.

Pierwszy obraz na ścianie, pędzla jakiegoś starego Anglika. Przedstawiał zachód słońca nad rzeką, płynącą przez małe średniowieczne miasteczko. Kupił był ten obraz przed pięciu laty na licytacyi w Antwerpii i przez dwa tygodnie szczerze i spokojnie się w nim kochał. Ale potem obraz sprzykrzył mu się tak, jak wiele innych rzeczy. Stał się dla niego — meblem, Rymowski siedział nieraz, pracując przed „Zachodem słońca nad rzeką" i nie widział ani rzeki, ani słońca.

Teraz, po operacyi, nagle obraz przecudnie

zmartwychwstał. Rymowski zbudził się rankiem, spojrzał na „Zachód słońca” i zaraz wyskoczył z łóżka...

— Cudny! cudny!...—zawołał radośnie.

Ale zaraz potem ogarnęło go pragnienie. Nie mógł naprawdę „nasycić się widokiem” obrazu.

— Co mi z tego, że on wisi tam gdzieś na górze!—mruknął posępnie.

I nie wytrzymał: skoczył na stół, zdjął „Zachód słońca” ze ściany i powiesił go w najjaśniejszem miejscu, śmiesznie nizko, prawie tuż nad biurkiem...

— Tak... to co innego—powiedział z dziwnie zmysłowym uśmiechem—tak ma przynajmniej światło i kwitnie... a ja go ciągle widzę...

W kilka dni ogarnął go niepokój.

— Ach ten, obraz!... Patrzę na niego i patrzę, a nie mogę się nim nasycić... Ładny owoc zje się i koniec... Ale przed tym obrazem stoję godzinami i patrzę... i mam ciągle tę samą tęsknotę... A to tylko jeden obraz... A tam czeka na mnie cały świat...

Mechanicznie chwycił za papier i pióro, aby „pozbyć się obrazu” czyli —napisać o nim nowelę.

Ale już po kilku słowach przekonał się, że — pisać—zapomniał.

Stanął więc znowu przed „Zachodem słońca”, a potem zdjął go znowu ze ściany, przysunął tak blizko do twarzy, że uczuł ostry zapach farby—potem wziął nóż, leżący na stole i najspokojniej w świecie zaczął krajać i krajać... I przestał do-

piero wtedy, gdy „Zachód słońca” zginął i zostały tylko ramy, a w nich krwawe, żółte, zielone strzępy płótna...

Teraz dopiero spostrzegl, że zniszczył obraz. I ogarnął go niesłychany strach przed samym sobą.

— Nie, ja tego nie zrobiłem—powiedział, patrząc na dziwny trup, kłębiący się na ziemi.

— Ja tego nie zrobiłem... — szepnął, czerwieniąc się jak dziecko, do służącego, który wszedł do pokoju.

...Zaczął opowiadać śmiesznie zawikłaną historyę o nożu, który upadł przypadkiem na obraz, czy o obrazie, który zleciał na nóż...

A potem usiadł gdzieś w kącie, pełen zimnego strachu, drżący, przygnębiony, cichy...

Pod wieczór odwiedziła go jednak nowa radość, zbudził go—drugi obraz.

Ten drugi obraz to — żywa, piękna kobieta, która wyglądała jak co wieczór z okna domu stojącego naprzeciw.

— Dzięki ci—rzekł z zachwytem — dzięki ci, że jesteś...

Wzrokiem pieścił jej białą twarz i szyję, całował czerwone usta. Oczy jego znały ją oddawna — ale tylko oczy. Patrzył na nią często i chętnie—ale tak, jak na piękne dzieło sztuki. Dopiero teraz czuł ją niejako wszystkiemi zmysłami, czuł w niej kobietę—ciałem i duszą!

I, nie namyślając się długo—jakby chodziło o rzecz najzwyklejszą w świecie—postanowił pójść do niej i „wyznać jej swą miłość”.

Gdy wszedł do jej mieszkania, była sama. Na widok jego zbladła i spytała: „Czego pan sobie życzy“. I otrzymała odpowiedź, że „pan“ kocha ją bez granic... i sam się dziwi, dlaczego już przedtem tego jej nie powiedział.

— Mam męża—zaczęła się bronić.

— Tak? — spytał obojętnie, jakby nie zrozumiał lub nie dosłyszał.

...Widocznie czasu nie miał, bo zaraz objął ją wpół i namiętnie do siebie przycisnął.

Broniła się rozpaczliwie, bo... kochała go oddawna. Broniła się tęskniącem ciałem i cierpiącą duszą. Broniła się pięściami i swą godnością kobiecą, nożyczkami i ciągłem „kocham męża“.

I Narcyz Rymowski został — jej kochankiem.

Innemi słowy: stał się katastrofą jej życia. Dawniej brakło jej szczęścia—teraz miała nieszczęście. Ile razy był u niej ten „mężczyzna z przeciwka“, tyle razy zdawało się jej, że jest w niebezpieczeństwie życia.

Patrzał na nią tak, jak morderca na swą ofiarę.

Raz, gdy siedzieli sami wieczorem, w półciemnym pokoju, uczuła tak wyraźnie zimną stal jego spojrzenia, że strach jej wybuchł gwałtownie.

— Ty mnie zabijesz!—przeraźliwie krzyknęła.

Wtedy Rymowski drgnął, uśmiechnął się jak zbudzony ze snu i krokiem pijanym wyszedł z pokoju.

Na ulicy uświadomił sobie, że przed chwilą chciał naprawdę zabić kobietę.

Była to myśl, którą należało natychmiast obez-

władnić, odurzyć, aby nie ruszała się w mózgu i nie sprawiała boleści. Więc trzeba było pójść natychmiast do kilku dobrych towarzyszów i wziąć ich na dobrą kolacyę.

Od chwili tego postanowienia zaczęły się dziać z Rymowskim dziwne rzeczy. Przez kilkanaście dni nie był w domu, a po za domem prowadził tak burzliwe, dla siebie i dla spokoju publicznego niebezpieczne życie, że zaczęto go pilnować, a nawet w gazetach jęły się zjawiać dość przezroczyste aluzye i wzmianki o stanie zdrowia naszego sławnego nowelisty.

Aż pewnego dnia zamknięto go z troskliwości w jego mieszkaniu.

Narcyz stał godzinami przy oknie i patrzał z rozkoszą na swój — trzeci obraz. Tym obrazem trzecim był piękny widok na ogród i miasto.

Widok ten nie dawał mu zadowolenia (jak nie dawały mu go przedtem tamte dwa obrazy). Ale ponieważ był, więc trzeba było i jego jakoś „się pozbyć".

Trzy dni Narcyz męczył się i tęsknił. Trzy dni kochał się w kwitnących bzach, w szmaragdowych trawnikach, w srebrnych wieżach kościelnych i w smutnych postaciach kominów na dachach. Kochał się i cierpiał.

I dopiero czwartego dnia zrana widoku i życia gruntownie „się pozbył". Trup jego, odnaleziony przez kogoś w rowie, miał ramiona miłośnie otwarte. Ramionami temi chciał objąć i uścisnąć... ukochane życie. Tylko dlatego rzucił się z okna.

---

# MŁODOŚĆ.

Pędziłem przed siebie ostatnie dni, jak czarne owce... Wołałem: „Prędzej, prędzej, czarne dni"!

Na tydzień przed podróżą dawałem wskazówki, co i jak trzeba zapakować...

— Ależ to jeszcze czas — mruczała matka.

— Ho, ho!... Tydzień tylko... Zaledwie tydzień... „A raczej sto pięćdziesiąt godzin" — dodawałem w duchu... Nie głośno, bo się wstydziłem... Wiedziałem, że tamci ludzie są całkiem inni, a w każdym razie nie tak dokładni i skrupulatni w obliczaniu czasu przed podróżą... Co im tam jedna godzina mniej czy więcej!...

...Prędzej, prędzej, czarne dni...

Naprzeciw okna był stary, żółty mur. Na murze były ciemne malowidła takich mistrzów, jak deszcze, dym i czas... Były obłoki i panny młode w długich welonach i amazonki na koniach arabskich... Przeważnie obłoki i kobiety... Znałem na wylot całe towarzystwo, bo nieraz nudziłem się haniebnie, pisząc z urzędu różne głupie rzeczy, więc, pisząc, patrzyłem przez okno.

Patrzyłem przez okno z pewną litością, bo amazonka najgrubsza schudła i pozieleniała z rozpaczy, że miałem niebawem wyjechać...

Bardzo mi przykro, ale wyjechać muszę.

— Tak, pani łaskawa, za czterdzieści osiem godzin i trzydzieści minut... Dokąd? Doprawdy, nie chce mi się poraz setny opowiadać całej historyi. Co pani z tego? I tak nie mogę wziąć pani z sobą. Tylko to jedno powiem, że niezadługo zacznie się moje królestwo. Czy pani wie, co to wakacye? Tylko to jedno powiem, że są Rotszyldy, mający trzydzieści milionów, i że ja właśnie jestem takim Rotszyldem. Tylko to jedno. Mam trzydzieści pereł, jedna większa i jaśniejsza od drugiej, mam trzydzieści białych dni... Gdzie są? Tam, niedaleko, za sto czterdziestą ósmą godziną, tam, gdzie się rozjaśnia, tam, gdzie jest taki duży jasny otwór jak koniec tunelu. Już niezadługo tunel się skończy, pani droga, już niezadługo zabłyśnie pierwszy biały dzień.

Amazonka na koniu arabskim ciemnieje. Biurko moje ciemnieje. Papiery na stole i obrazy na ścianach ciemnieją, jakby się oddalały. Wszystkie ulice, miasto całe się oddala. Bo już się żegnam ze wszystkiem... Minął ostatni poniedziałek. Trwał najdłużej ze wszystkich dni czarnych, ostatnich... Słońce zaszło o kilka godzin później, niż miało.

Gdy kończył się ten długi podziedziałek, uśmiechnął się jeszcze do mnie ironicznie, czerwono...

— Do widzenia—szepnął—do widzenia!...

Minął wtorek, minęła środa...

— Masz załatwić przed odjazdem następujące rzeczy—rzekł do mnie starszy i poważny człowiek.

Powiedziałem starszemu człowiekowi, że zrobię wszystko co do joty.

A ostatniego dnia upomniał mnie ten człowiek:

— Nic nie zrobiłeś! Ja ciebie nie puszczę, dopóki wszystkiego nie załatwisz...

Główną rzeczą jest to, żeby siedzieć już raz w wagonie. Dlatego dziękowałem Bogu, że już nareszcie siedzę w wagonie.

...Przez okno widziałem mnóstwo ludzi, którzy musieli zostać. Ludzi bez białych dni, okropnie biednych. Odprowadzili tylko swoich krewnych na dworzec, a teraz muszą wracać do miasta.

Ze mną inna sprawa! Od dziś zaczyna się nowe życie.

— Za trzydzieści dni musisz wrócić—rzekł do mnie poważnie starszy człowiek.

Przedewszystkiem chodzi o to, żeby już być w wagonie. Przedemną leży świat. Jestem tak niesłychanie wolny, że kręci mi się głowa, gdy o tem pomyślę...

A jak tylko ruszymy z miejsca, zacznę mówić z tą panną, która siedzi naprzeciwko.

Przedemną jest tysiąc możliwości i awantur. Niema rzeczy, której nie zrobię, gdy zechcę. Jestem jak ptak. Pociąg rusza, a ja jestem jak ptak...

Teraz jest ciemno, ale jak tylko wyjedziemy z dworca, zacznę mówić z tą panną, która siedzi naprzeciwko.

Robi się jasno...

Spytam na razie tego pana, który siedzi w kącie, czy wolno zapalić papierosa.

Powiedział, że wolno. Wobec tego wypada palić. To nieprzyjemne, bo przed chwilą paliłem. W dodatku powinieniem był spytać się panny, nie zaś tego pana w kącie. Ale nie mogłem, bo ona czyta książkę. Jak tylko skończy czytać, zacznę bezwarunkowo z nią mówić.

Ażeby załatwić jakoś tę sprawę z paleniem, wychodzę na korytarz.

Nie piłem, ale jestem pijany. Patrzę przez okno na pola całkiem czerwone od wieczornego światła... i głowa mi się kręci. To wszystko moje... wszystko moje... Taka sympatyczna biała szosa między drzewami, którą można zajść... Bóg wie, jak daleko... A tam błyszczą się okna białego domu. Jestem nieskończenie szczęśliwy.

Ten pan, którego się pytałem, czy wolno palić, wychodzi na korytarz...

Patrzy się wesoło na świat. Patrzy się tak, jakby wyszedł na małą pogadankę. Opiera się o okno, wyciąga cygaro z kieszeni... bardzo sympatyczny człowiek.

Ale nie wiem, o czem mam z nim gawędzić. Najlepiej będzie, jeżeli on sam zacznie. W każdym razie zwracam jego uwagę na czerwone pola.

— A tak — mówi, kiwając głową — to od słońca.

— Właśnie, od słońca...

Widzę, że mi się przypatruje... Naraz się pyta:

— Pan się z czegoś cieszy...

— Ja?.,.

— Tak się pan jakoś uśmiecha...

Jestem w pewnym ambarasie.

— Tak...—mówię—uśmiecham się, bo... jakby to powiedzieć... odziedziczyłem majątek...

To niezłe uzasadnienie.

Pan z cygarem otworzył lekko usta i patrzy się na mnie, jakby widział pierwszy raz takiego człowieka, więc odwracam głowę w inną stronę.

Teraz chciałbym, żeby pan z cygarem zapomniał jakoś o tym majątku, który odziedziczyłem. Ale on ciągle na mnie patrzy. I mówi:

— A to przyjemnie... Bardzo przyjemnie... Po kim to pan odziedziczył, jeśli wolno spytać?...

Czuję, że się czerwienię.

— O!... Po dalekim krewnym... Bardzo dalekim...

Patrzę z naprężeniem na czerwone pola, czy nie ma gdzie zająca, albo coś podobnego, żeby módz pokazać temu panu.

Ale niema. Więc on znowu się pyta:

— A... hm... dawno pan odziedziczył?...

— Co?

— ...Czy dawno pan...

— Niedawno, nie... — mówię prędko — przed samym odjazdem. Ale mniejsza o to. Nie przykładam do tego najmniejszej wagi...

— He... he... nie przykłada pan...

— Nie. Właściwie nie dlatego się uśmiecham...

Ale głównie dlatego, że robię bardzo piękną podróż... ale tym razem...

— Gdzie pan wysiada?

— W Mori. Ale to najmniejsza. Dopiero potem zaczyna się właściwa przyjemność. To, z czego się głównie cieszę...

— Ale w Mori pan wysiada?

— Tak, tak... Tylko to nie koniec, powiadam panu... Bo potem przychodzi najważniejsza część podróży. Piesza wędrówka do Włoch... Idę brzegiem jeziora przez cały dzień, a potem...

Opowiadam mu jak i co. Ale nie wiem, czy on słucha. Zły jestem, że mówię, bo on ma roztargnione oczy. Muszę teraz dokończyć, bo zacząłem, ale mówię raczej do siebie, mówię niewyraźnie...

Patrzy się na mnie tak, jak przedtem, kiedy się dziwił, że odziedziczyłem majątek.

Boję się, żeby nie wrócił znowu do tego majątku. Więc mówię:

— Czy widział pan tę piękną pannę, która z nami jedzie?

Ziewnął.

— To Włoszka...

Ucieszyłem się bardzo.

— Co pan mówi?... Włoszka?...

— Jedzie do Werony.

Dlatego taka piękna, że Włoszka... O, dlatego taka piękna!...

Siedzisz sama w przedziale, piękna moja! Pozdrawiam cię oczyma... Czy widzisz?... Mam trzydzieści pereł, trzydzieści białych dni...

Jak tylko skończy czytać, muszę do niej mówić. Może się stać tysiąc cudów, bo to dopiero pierwszy... dzień, a naprzeciw mnie siedzi taka Włoszka.

W wagonie ciemno. Jest nas troje... Ona, ja i ten sympatyczny pan.

Sympatyczny pan wstaje.

— My położymy się po tej stronie... A pani po tej...

Włoszka się uśmiecha:

— *O grazie tante.*

Minęło mnóstwo czasu... A ja nie śpię. W wagonie ciemno... Lokomotywa gra piosnkę, którą raz gdzieś słyszałem dzieckiem... A ja się kocham.

Staram się powtórzyć w myślach tym samym głosem, co ona: „*Grazie tante... grazie tante... grazie tante...*

...Pociąg śpiewa tę piosenkę, którą lubię od dziecka. Zdaje się, że sympatyczny pan śpi, jak zabity. Więc jest nas dwoje... Ja i ona...

W nocy się zbudziłem na chwilę. I przez tę chwilę wpadło mi na myśl, że nie zrobię pieszej wycieczki brzegiem jeziora Garda do Włoch...

Wpadło mi na myśl, że pojadę do Werony.

Przytem zauważyłem, że jej twarz biała leży na drogocennej materyi z czarnych włosów... I włosy czarne pachną. I cały wagon pachnie...

Jak tylko otworzy oczy, zacznę do niej mówić.

Zbudziłem się drugi raz... nad ranem. Pociąg nie grał... Stał. Sympatyczny pan już nie leżał, tylko patrzył, czy ja nie śpię...

Nagle powiedział:

— Jesteśmy w Mori. Pan wysiada...

Włoszka w tej chwili zbudziła się i przetarła oczy.

— Ja nie wysiadam — rzekłem nieśmiało do sympatycznego pana.

Na to się zerwał, chwycił za kapelusz i powtórzył, jakby ze strachem:

— To Mori... Pan powiedział, że pan tu wysiada...

— Ja nie wysiadam—odrzekłem nieśmiało.

Wtedy... sympatyczay pan nagle sam wysiadł.

Ruszyliśmy z miejsca.

— O, ten pan wysiadł — powiedziała Włoszka po francusku...

Ucieszyłem się, bo do mnie przemówiła.

— Tak, wysiadł...

— A!... *Madonna!...* A mnie się zdawało, że pani z nim razem jedzie...

Byłem szczęśliwy, bo do mnie mówiła.

— Ja nie jadę razem z tym panem...

Wzięła się za głowę.

— A!... Bo panu w nocy wypadł czarny portfel na ziemię...

Śmiałem się, bo do mnie mówiła.

— *Oui, mademoiselle...* mam czarny portfel...

Wzięła mnie nagle za rękę:

— Nie, nie... pan już nie ma czarnego portfelu... Bo ten pan, który wysiadł, podjął go i schował...

Pomacałem lewą kieszeń...

— *Oui, mademoiselle...* nie mam czarnego portfelu...

— O... *Madonna!...* I pan się uśmiecha... A pieniądze?!...

Zacząłem się śmiać.

— Tam nie było pieniędzy... Ja mam wszystkie pieniądze... w takim małym woreczku pod koszulą...

Teraz ona się śmiała.

— A!... w takim woreczku.

— Tak... pod koszulą...

Coraz więcej się śmiała.

— ...Który mi uszyła matka...

— Ach, tak...

Coraz więcej się śmiała...

A słońce świeciło... Czułem szczęśliwy, że to południowe słońce... Pierwszy dzień biały...

I było nas dwoje... Ona i ja.

Czekała, czy jeszcze coś nie powiem. Ale ja nic nie powiedziałem. Bo nie wiedziałem co... Tylko słońce świeciło.

Więc wzięła znowu książkę do ręki...

Co do siebie byłem spokojny... Ho—ho—teraz już łatwo! Za kwadrans zacznę z nią mówić... Jak tylko miniemy najbliższą stacyę, zacznę znowu z nią mówić...

...I będę z nią mówił aż do Werony. A w Weronie z nią wysiądę... Ona się uśmiechnie. „O, pan także tu wysiada“? A ja odpowiem: „Także tu”...

I spytam się, czy ona tu mieszka. Odpowie, że nie... tylko ma załatwić kilka interesów... Przenocuje tu jedną noc... jedną noc... a nazajutrz wróci do Roveredo... „A w jakim hotelu pani zamieszka"... Odpowie: „W Aquila Nera"... Na to ja rzeknę z uśmiechem, lecz spokojnie: „Ach, to się dobrze składa, bo i ja w Aquila Nera"... Na dworcu czeka już omnibus hotelowy, wsiadamy razem i...

...Pociąg staje.

— *Permesso, signore...*

Włoszka zbliża się do mego okna i otwiera je szybko.

Jesteśmy na stacyi... Boże, Boże... czy daleko to jeszcze do Werony?...

Włoszka stoi tak blizko, że czuję jej kolana. Od dziś zaczyna się nowe życie!... Czuję jej kolana...

Prawie boję się własnej odwagi. Bo nagle do niej mówię:

Właściwie miałem jechać tylko do Mori...

— Do Mori?...

Włoszka nagle wychyla się przez okno i woła:

— *Beppo!... Beppo!..*

A potem śmieje się, jakby z radości... Ja nie wiem, dlaczego — ale znowu śmieję się z nią razem.

— *Beppo!*—wołała Włoszka i śmieje się.

Wchodzi jakiś brodacz do wagonu... W jednej ręce walizka...

Niech go!... Teraz nie będziemy już sami... Ale za to w Weronie...

— *Mio marito*—mówi Włoszka i śmieje się.

A potem tłómaczy:

— *Mon mari...*

Powtarzam w myślach mechanicznie:

„Teraz nie będziemy już sami”...

---

# POTWÓR.

1.

Będę się starał przedstawić sprawę zupełnie rzeczowo i sprawiedliwie od początku do końca. Zdaje mi się, że można mi zaufać. Jestem znany z bezwzględnej sprawiedliwości i z tego, że strzegę się wszelkiej przesady. Nasz sklep towarów kolonialnych istnieje, chwała Bogu, od stu pięćdziesięciu lat (w tym samym domu) i już ta okoliczność— pominąwszy znany fakt, że dziadek mój był burmistrzem — zwalnia mnie chyba od obowiązku rozwodzenia się nad tem, kim jestem i do jak dobrej należę rodziny. A co do zmarłego niedawno dobrowolnie i brzydko Szymona Alkiewicza, to znałem go od dziecka, (nie będąc z nim jednak nigdy w przyjaźni, ani w nieprzyjaźni) i posiadam oprócz tego pozostałe po nim listy i inne papiery, więc nikt chyba nie wątpi, że widzę jego życie jaśniej i prawdziwiej, niż inni mieszkańcy naszego miasta, nie wyłączając nawet żony i dzieci nieboszczyka.

Na pytanie: czy Alkiewicz był „zbrodniarzem"?— odpowiedziałbym zapewne przecząco. Muszę przyznać, że co do faktów... podkreślam: faktów... nie można znaleźć nic karygodnego w jego postępowaniu i życiu. Przeciwnie, trudno zaprzeczyć, że Alkiewicz, czynił wiele... dobrego, to znaczy: rzeczy, które trzebaby uznać bezwarunkowo za dobre, gdyby nie to, że niestety, czynił je właśnie Alkiewicz. Wiedzą przecież wszyscy, że wspierał najuboższych i najnędzniejszych, że dawał brudnym dzieciom pieniądze na książki i na odzież, że nieraz ostatni cent w jego kieszeni dostawał się najwstrętniejszym kalekom i że pozostawił wreszcie między innemi 1,000, mówię, tysiąc guldenów dla swego rodzinnego miasta... owe nieszczęsne pieniądze, o których obecnie tak dużo i niepotrzebnie się mówi.

...Stanowisko swoje w sprawie zapisu Alkiewicza zaznaczyłem wyraźnie i ściśle w mowie, wypowiedzianej onegdaj w ratuszu. Czy może doradzałem, żeby przyjąć? Nie, powiedziałem kilka razy: Nie przyjąć! Podniosłem *en passant*, dla przykładu, że przyjmowanie podarunków, choćby najmniejszych, (cóż to jest 1,000 reńskich? — bagatelka, głupstwo, które można ostatecznie wziąć albo nie wziąć), od niewątpliwych waryatów, złodziejów, albo dzikich ludzi sprzeciwia się najprostszym zasadom etycznym. Podniosłem to nawiasem i tylko dla przykładu, więc nie pojmuję żalu, który czują do mnie żona i krewni zmarłego. Bo nie twierdziłem przecież, że Alkiewicz był złodziejem albo

waryatem, lecz zrobiłem niejako małe porównanie, aby przekonać tem prędzej moich zacnych, choć trochę powoli myślących kolegów w radzie miejskiej. Zdaje mi się, że argumentacya moja była trafna i przekonywająca i nie jest to z pewnością moją winą, że w sprawie zapisu Alkiewicza nie zapadła dotychczas ostateczna decyzya.

2.

Alkiewicz nie był waryatem i nikt tego nie utrzymuje. Alkiewicz był tylko... wstrętny i co do tego niema różnicy zdań! Gdyby ciało jego było takie, jak dusza, to możnaby to ciało zachować na wieczne czasy w spirytusie dla potomności i dla obcych. Dusza jego była potworna i wątpię czy jest druga taka dusza na świecie.

Agata Alkiewiczowa jest w gruncie swego serca czcigodną niewiastą i za życia męża zapatrywała się z pewnością tak samo na jego duszę, jak i my wszyscy, ale teraz go broni, bo umarli mają zawsze racyę. Ludzie utrzymują, że Agata musiała go kochać, choćby tylko z wdzięczności. Ale ja byłem zawsze głębokim znawcą duszy i myślę inaczej. Dlaczego Alkiewicz ożenił się z Agatą? Dlatego, że była — brzydka. Dobrze, to wiemy wszyscy. Wiemy, że Alkiewicz kochał wszystko, co brzydkie tak, jak np. ja, albo my wszyscy kochamy to, co jest piękne. To rzecz, znana aż nadto. Alkiewicz ożenił się z Agatą, dla jej krzywych

ust, nieregularnych rysów, małych oczek, dla je długiego nosa, dla jej lewej łopatki, położonej niżej, niż prawa, (czy też dla prawej, położonej wyżej niż lewa), dla jej kłów, przedstawiających zęby dla jej baranich kudłów, oznaczających włosy... To wiemy wszyscy. Ale nawet osoba tak szpetna, jak Agata Alkiewiczowa, pragnie być niekiedy choćby troszeczkę piękną i nie może być szczerze wdzięczną mężczyźnie, który ją poślubił właśnie i wyłącznie dla jej brzydoty. Bo co uczynił Alkiewicz tej kobiecie, biorąc ją za żonę? Pozbawił ją raz na zawsze miłej możliwości łudzenia się choćby przez trzy sekundy: Kto wie, może jestem mimo wszystkiego podobna do Wenery medycejskiej?... A tem samem odebrał jej wszystko. Żyję sześćdziesiąt lat, mam dużo doświadczenia i czuję: on tej kobiecie wziął artykuł wiary w swoje własne ciało, który to artykuł następuje w niewieściem *credo* zaraz po „Wierzę w Boga"... Małżeństwo z Alkiewiczem musiało jej być ciągłem, upokarzającem *memento:* Jesteś brzydka, brzydka, brzydka.

3.

Alkiewicz urodził się w naszem mieście, na ulicy Krętej № 77, jako syn ślubny bardzo bogobojnych i uczciwych małżonków. Pierwszy raz płakał, ze strachu czy wstrętu, (opowiadała mi jego matka), gdy ujrzał kulę, przedstawiającą naszą ziemię. Kuli nienawidzi! Nie jadł pomarańcz ani

jabłek, bo go brzydziła ich okrągłość. Można go było drażnić do szaleństwa, pokazując mu okrągłe przedmioty i aż do siódmego roku życia bał się chodzić po ulicy, bo inne dzieci męczyły go strasznie piłkami i kulami z gliny lub błota. Potem to minęło; może zapomniał, a może tylko nauczył się znosić wszystko cicho i spokojnie... I zaczęło się mówić o nim dopiero później, gdy chodził już do szkoły. Pokazało się, że tak, jak są np. osoby nie wiedzące, co jest czerwone, a co zielone, tak on nie wiedział, co jest piękne, a co brzydkie. A może i wiedział, ale coś wręcz przeciwnego jak inni ludzie.

Trudno uwierzyć, ale mówił mi ówczesny nauczyciel, że, tłomacząc dzieciom obrazki na ścianach, przekonał się o jakiemś niepojętem kalectwie duszy u małego Alkiewicza, polegającem na tem, że ten zresztą wcale pojętny i zdolny uczeń wyraźnie brzydził się wszystkiem, co jest proste, harmonijne i symetryczne. Zastanawialiśmy się długo nad tem, czy to możliwe i czy nauczyciel się nie myli. Wezwaliśmy doktora Salskiego, jako rzeczoznawcę i rozprawialiśmy długo w restauracyi pod „Trzema gruszkami". Zrobiliśmy nawet wspólną wyprawę do mieszkania Alkiewiczów, tak, jak się idzie do obserwatoryum astronomicznego patrzyć na księżyc, albo tak, jak urzędnicy robią komisyę.

Przestraszyli się wszystko troje: ojciec, matka i synek, bo było nas blizko dziesięciu, a za parkanem cisnęło się jeszcze mnóstwo ciekawych ludzi, oczekujących, co z tego będzie. Wstydziłem się

trochę, nietyle za siebie (bo sam zachowałem się dobrze i z wrodzonym taktem), co za innych członków wyprawy, mających bardzo surowe i uroczyste miny, a zwłaszcza za doktora, który nie wiedzieć dlaczego, uspakajał matkę tak, jak łagodny sędzia śledczy. Matka poczęła załamywać ręce, płakać i pytać się ze strachem: czy jej syn popełnił coś złego? Doktór nie odpowiedział jej wprost przecząco, tylko oświadczył, że „zadamy malcowi kilka drobnych pytań". Zaczął od pytania: „Co jest piękniejsze, czy to jabłko rumiane, czy tamto robaczywe"? (miał nawet w tym celu przygotowane dwa jabłka w kieszeni), ale „malec", nie odrzekł ani słowa. Notaryusz spytał, co piękniejsze: czy motyl czy ropucha? Ale doktór się skrzywił i szepnął, że zła metoda, bo trzeba dziecku „*ad oculos demonstrare*", (a notaryusz nie miał w kieszeni ani ropuchy, ani motyla)... Zresztą malec nie odpowiadał tak samo na ropuchę, jak przedtem na jabłka. Był blady, zaciskał zęby i drżał jak osika. Matka żegnała się ciągle i szlochała bez wyraźnego powodu, a ojciec trząsł przestraszony dużą głową i nieśmiało próbował ująć nas wódką. Ale nauczyciel oznajmił energicznie, że nie przyszliśmy tu na wódkę i spytał małego Alkiewicza, czy woli „czworoboki regularne czy nieregularne"... Uśmiechnęliśmy się wszyscy pobłażliwie, a malec nagle — dostał konwulsyi. I tak skończyło się śledztwo.

Ale najgorsze jest to, że od tej chwili Alkiewicz nie odpowiadał już nigdy nauczycielowi na żadne

pytania. Nawet w szkole nie odpowiadał. Z wielką szkodą dla siebie, bo rzecz naturalna, że po kilku tygodniach trzeba było wydalić milczącego ucznia. I rodzice wysłali go z domu, gdzieś do innego miasta. Alkiewicz nie był u nas długo, przez lat kilkanaście i zjawił się dopiero później, już jako dojrzały mężczyzna.

4.

Powiadam zawsze do żony, że w świecie nic się nie ukryje. Kiedy Alkiewicz osiedlił się nagle u nas, wszyscy już dawno zapomnieli, jakim był w swej wczesnej młodości, (a nawet mnie samemu owo „śledztwo" i inne rzeczy zniknęły na razie z pamięci); w dodatku mało kto z nim mówił i nigdzie go się nie widziało: ani na żadnem weselu, ani na pogrzebach, ani w kasynie miejskiem, a przecież wszyscy jakoś go znali, tak, jak się zna chorobę, albo nieszczęście i wszyscy zastanawiali się nad tem, co też on przez cały dzień robi, czem zajmował się podczas swej nieobecności u nas (mówiono, że kształcił się i żył przez cały czas w stolicy), a przedewszystkiem dlaczego, odziedziczywszy po jakimś, tu nieznanym, zapewne dalekim, krewnym, dość duży majątek, osiadł właśnie w naszem małem miasteczku, a nie pozostał tam w „świecie".

Ludzie nie zadawaliby sobie z pewnością takich pytań, gdyby nie czuli, że w Alkiewiczu „coś

jest", że to osoba niepewna, wątpliwej wartości i nie całkiem jasnego charakteru. Człowiek ma delikatny węch, taki, jak zwierzę i zawsze wyczuje sobie równego, a instynktowo boi się tego, który jest inny, jak inni. Wszyscy czuliśmy, że Alkiewicz jest „inny", że czemś się od nas różni, choć nikt nie wiedział na czem właściwie polega różnica. Ja sam—przyznaję otwarcie—choć jestem z pewnością człowiekiem poważnym i — Bóg świadkiem!— nie mam czasu na żadne dzieciństwa, nie mogłem przejść ulicą koło Alkiewicza, jak koło innego człowieka, ale mimowoli stawałem, oglądałem się, a nawet nieraz nie mogłem się wstrzymać, aby nie pójść za nim kilka kroków, ukradkiem, cichutko... tak, jakbym był na tropie czegoś dziwnego, jakiegoś osobliwego zdarzenia lub czynu, który Alkiewicz popełni za chwilę... za kilka minut... tu, czy gdzieindziej... dyabli wiedzą... I tak odprowadzałem go czasem, aż do bramy jego domu, jak ajent policyjny, z jakąś rozpaczliwą, mimowolną wytrwałością i wstydząc się okropnie... a gdy wszedł już do bramy, stałem jeszcze na trotuarze, patrząc do góry na zasłonione okna i medytując: co się kryje za temi oknami?

Dowiedziałem się od żony, (której to opowiadała nasza sługa, przyjaciółka sługi Alkiewicza), że ten człowiek wydaje masę pieniędzy na ubogich, zwłaszcza na obdarte dzieci, na jakichś okropnych kaleków, z pod ciemnej gwiazdy, że przez cały dzień i do późnej nocy pisze jakieś olbrzymie dzieło i że luźne kartki rękopisu formalnie zalewają wszyst-

kie stoły, komody i podłogę. Wogóle ma panować w jego mieszkaniu chaotyczny nieład i nieporządek; żaden obraz na ścianie nie wisi prosto, ani jedna szafa nie stoi porządnie, plecami do muru, jak u wszystkich ludzi, ani jedno krzesło nie ma czterech nóg... a nawet pokoje mają tylko trzy kąty... I chociaż temu wszystkiemu nie bardzo wierzyłem, to jednak nagle coś mię tknęło i zacząłem sobie przypominać niektóre szczegóły z lat dziecięcych Alkiewicza, jego „kalectwo”, jego dziwne wyobrażenia o pięknie...

5.

Alkiewicz był właściwie przystojnym mężczyzną. Ale w oczach miał jakiś przykry wyraz, coś brzydko podstępnego, wzbudzającego nieufność.— Myślałem dużo o tym wyrazie oczu Alkiewicza i przyszedłem do wniosku, że pochodzi właśnie z jego przewrotnych pojęć o tem, co jest piękne. Nauczyciel pokazał nam książkę, napisaną i wydaną przez Alkiewicza, która wywołała rzekomo burzę wśród uczonych i artystów w stolicy i była powodem, że autor stał się przedmiotem najstraszliwszych napaści, pośmiewiskiem dla wszystkich i musiał w końcu ukryć się przed ludzką pogardą w naszem miasteczku. Książka nazywa się „Moja etyka”, a nauczyciel utrzymuje, że to istna „Biblia szatana”, z punktu widzenia „normalnego artysty” i że „otwierają się przepaści”, gdy się ją czyta.

Nie znam się na takich rzeczach, więc książki nie czytałem, ale to, co o niej wiedziałem od innych, utwierdzało mię w przekonaniu, że Alkiewicza dusza żyje w bałwochwalczej adoracyi brzydoty i że ta brzydota właśnie, ta ukochana przez duszę jego brzydota, odzwierciadla się w jego oczach, szpeci jego twarz (niegdyś może piękną) i sprawia, że Alkiewicz robi wrażenie—zbrodniarza.

Czy nie był naprawdę zbrodniarzem? Czy człowiek, kochający brzydotę, nie kocha zarazem zbrodni?

Teraz, kiedy nie widzę tego człowieka, gotów jestem przytoczyć kilkanaście i więcej faktów przemawiających za jego moralnością. Ale dlaczego przedtem, za jego życia, patrząc w jego oczy — tak czułem, jak wszyscy? Nie mam najmniejszej pewności, że myliłem się wówczas, a nie mylę się teraz.

Za życia jego nienawidziłem go tak, jak wszyscy i nie broniłem go wcale, kiedy szeptano, że swój niby odziedziczony majątek, zdobył w jakiś tajemny, nieuczciwy sposób. Ale co do późniejszych zdarzeń, które sprowadziły, może pośrednio koniec Alkiewicza, to nie mieszałem się bezwarunkowo do niczego, nie prześladowałem ani jego, ani jego rodziny... a na dowód mógłbym przytoczyć własne słowa zmarłego, które na kilka dni przed śmiercią do kogoś powiedział, (myląc się stanowczo), że jestem jego „jedynym przyjacielem".

6.

Nie byłem nigdy przyjacielem Szymona Alkiewicza i nie wiem, zkąd mu to przyszło do głowy. Nie byłem nigdy przyjacielem jednostek, które czują i myślą inaczej, jak większość wykształconych osób. Mam wstręt instynktowy do wszelkich kalectw ciała i duszy, a więc i wielką nieufność do człowieka, któremu się wydaje to pięknem, co przez tyle wieków wszyscy normalni ludzie uważali za brzydkie.

Agata Alkiewiczowa utrzymuje, że mąż jej nieraz mawiał:

— Tyle jest światów, ile dusz; dlaczego oni nie chcą uznać mego świata? Nie ma ani brzydoty, ani piękna wspólnego dla wszystkich, tak jak nie ma świata wspólnego. Oni zgadzają się z sobą tylko dlatego, że nie czują, albo dlatego, że kłamią...

Przez powtarzanie takich nonsensów (w dodatku bezczelnych i obraźliwych) Agata Alkiewiczowa bez wątpienia tylko szkodziła swemu mężowi. I chociaż byłem przyjacielem jej zacnej rodziny (a nie jak mniemał Alkiewicz, przyjacielem jego), ja muszę przyznać, że właśnie ona stała się bezpośrednią przyczyną całego nieszczęścia.

Bo Agata była nietylko brzydka jak dyabeł, ale i blizka fatalnej czterdziestki, gdy się z nią żenił Alkiewicz. Bóg wie ile w niej tęskniło niezaspokojonej miłości, i wobec nagłego szczęścia (któ-

rego z pewnością oddawna przestała się spodziewać) straciła poprostu marne resztki swego kobiecego rozumu.

Na kilka tygodni przed ślubem chodziła od domu do domu, obnosząc niejako wszędzie swoje „szczęście", swoje potwornie śmieszne rumieńce i przedślubne dreszcze i chwaliła się, spuszczając wstydliwie. małe oczka, jak to Szymek ją kocha i jak „nigdy nikt nikogo tak namiętnie nie kochał", a jej naiwne zwierzenia, i uśmiechy, i rumieńce działały, jak przeraźliwe, gorszące obrazy majestatu miłości.

I nie było domu, gdzie wszyscy nie czuliby tak samo: że dzieje się jakiś skandal bez nazwy, zapowiada się jakaś obłąkana zbrodnia bez kary... A z domów te uczucia oburzenia i wstrętu wylały się na ulicę, i na Agatę wskazywało, jak na waryatkę, mnóstwo szyderczych palców, których nie widziała, sypało się mnóstwo słów zatrutych, których nie słyszała... I zanim ten ślub się odbył, wszędzie go już było pełno, wszędzie go już obrzucono błotem i przeklęto.

Bo nie ma większej zbrodni na świecie od — brzydoty Agaty Alkiewiczowej. Tak, nie ma. I teraz czuję, jak nigdy, że Alkiewicz był przecież zbrodniarzem.

7.

Nasza policya zakazała raz kiermaszu na cele dobroczynne, raz zgromadzenia fryzyerów z porząd-

kiem dziennym „Broda *á la Henri IV*” i tym podobnych rzeczy. Jestem stanowczo przeciw zakazywaniu takich niewinnych rozrywek zamożnej inteligencyi i fryzyerów. Ale gdybym był policyą, zakazałbym niewątpliwie ślubu Szymona Alkiewicza z gorsząco brzydką dziewicą Agatą.

Nie przypominam sobie większego zgorszenia w mieście. Policya wmieszała się dopiero wówczas, kiedy Alkiewicz niejako się zbudził, spostrzegł co się dzieje i porwany nagłym, bezmiernym gniewem, cisnął kilka przekleństw, okropnych, ciężkich, jak kule armatnie w rozpasany i wrzeszczący tłum przed kościołem. Na to musiała policya zasłonić jego i „pannę młodą”, stanąć przed nimi, jak mur z żelaza, pstrych szmatek i złoconych guzików, bo inaczej kamienie roztrzaskałyby im głowy, a brudne pazury ludu rozszarpałyby im piersi.

Wtedy to wzrok mój spoczął na bladej, pomarszczonej twarzy Tytusa Czeremchy, ojca Agaty, poważnego i szanowanego niegdyś radnego miasta, którego siwa broda trzęsła się, jak gołąb w śmiertelnym lęku. I strasznie dotknęło mnie nieszczęście człowieka, który przez tyle lat żył w uczciwości i sumiennej pracy, a któremu zawdzięczałem niejedną radę i pomoc skuteczną.

Więc — wiedziony uczuciem litości — stanąłem niejako po stronie Alkiewiczów. Nie całkiem i niezbyt otwarcie, ale niejako stanąłem po ich stronie. Może być, że nikt tego nie zauważył (nie mogłem przecież, mając familię i stanowisko, zanadto się narażać), ale sercem byłem przez chwileczkę po ich

stronie... a nawet (zasłoniony murem policyjnym)
ścisnąłem z lekka dłoń Alkiewicza, chcąc przez
to wyrazić tylko współczucie dla starego Cze-
remchy.

Nie ulega wątpliwości, że Alkiewicz uczuł ten
uścisk lekki, bo spojrzał na mnie z uśmiechem wdzię-
czności (który był zresztą mocno nieprzyjemny),
i może od tej chwili powziął błogie, choć mylne
przekonanie, że ma we mnie przyjaciela.

Muszę zresztą podnieść, że gniew Szymona
Alkiewicza trwał tylko krótko i nie był niczem in-
nem, jak nagłym, przejściowym „napadem”, nieja-
ko chwilowem zbudzeniem się ze „snu na jawie”.
Może być, że Alkiewicz nie byłby się wcale uniósł,
gdyby nie usłyszał takich wykrzykników, jak: „hul-
taj”! i „zrodniarz”!, albo pytania: „komu skradłeś
twój majątek”? Bo za chwilę zdawał się być zno-
wu spokojnym i szczęśliwym, a nawet, trudno zro-
zumieć! patrzył z uśmiechem dziwnego zadowolenia
na tłum ohydny, cisnący się do powozów, jakby te
twarze, skrzywione szyderstwem, te namiętnością
zalane oczy i te brudne, chude, zaciśnięte pięści
sprawiały mu najwyszukańszą rozkosz, i jakby nie
było na świecie piękniejszego widoku.

W tej chwili stanęło mi jasno przed oczyma,
co za przepaść leży między nim a nami i jak wy-
łączone jest tu na wieki wszelkie porozumienie! Te
szpetne oczy i twarze i podniesione pięści pragnę-
ły namiętnie wyrazić mu nienawiść i pogardę, a on
je kochał, bo były — brzydkie, i na odwrót: Alkie-
wicz wychylał się z powozu, jak król wśród owa-

cyjnych okrzyków poddanych, i widać było, chciałby cały świat objąć miłością i przesłać mu dużo słonecznych uśmiechów; ale te jego uśmiechy podsycały tylko powszechną wściekłość, bo były — brzydkie.

Gdybym był policyą, nie byłby się nigdy odbył ślub Alkiewicza publicznie.

Była wiosna, ziemia pachniała, a żona Szymona Alkiewicza chodziła po ludziach — żebrać o miłość...

To dziwne, że kobieta potrzebuje o tyle więcej ludzkiej sympatyi, niż mężczyzna. Zdaje mi się, że Alkiewicz żyłby długo i szczęśliwie, pomimo że istniało całe miasto, które go nienawidziło. Żył daleko od miasta, choć w mieście, i wystarczało mu zupełnie kochanie żony i dzieci. Ale Agacie to nie wystarczało i potrzebowała serc wszystkich.

Nie miała ich przedtem, przed ślubem. Ale wyobrażała sobie, że właśnie ten ślub będzie początkiem piękniejszego życia. Myślała, że „małżeństwo sadza kobietę na tron, i wielcy i maluczcy, bogaci i ubodzy... wszyscy muszą przyjść do niej i ze czcią się pokłonić i codzień zdobić jej tron świeżemi kwiatami miłości”...

Te ostatnie słowa, wyjęte z pamiętnika Szymona Alkiewicza, dowodzą, jak ten potwór mimo wszystko umiał wyczuć to, co inni czują, a nawet wyrazić te obce uczucia powszechnie zrozumiale i pięknie. Spytałem niedawno nauczyciela, jak to sobie wytłómaczyć.—Odrzekł: — Te słowa Alkiewicza dowodzą, że był komedyantem, bo tylko kome-

dyanci, tylko artyści... znają obce uczucia i (dla „stylu") wyrażają je obcemi słowami...

Dosyć, że Alkiewicz wiedział z pewnością, co jego żona, Agata, cierpi i jak chodzi po ludziach i daremnie żebrze o miłość.

I z pewnością nietylko szczerze się nad nią litował, ale i boleśnie za nią się wstydził.

...Bo Agata Alkiewiczowa poniżała się strasznie, chodząc po tej żebrze o miłość. Jak przybłęda, który się ciśnie do drzwi, przez które wyrzucono go już sto razy, jak pies liżący nogi, które go kopią... Tłómaczyła wszystkim i zaklinała się na wszystko, że mąż żadnej zbrodni nie popełnił, i tylko dotknięty jest dziwną ślepotą duszy, z której ona sama niebawem z pewnością go wyleczy. A ludzie milczeli zimno, albo odpowiadali jej bezlitosnem szyderstwem, że „wyzdrowienie Szymona Alkiewicza byłoby największem nieszczęściem właśnie dla jego żony, bo, dowiedziawszy się, co jest piękność, opuściłby ją z pewnością"... Ona zaś, nie słysząc szyderstw, nie czując obelg, skomliła dalej i dalej szła i wszędzie prosiła o miłość...

Może być zresztą, że w końcu zmęczona i zrozpaczona Agata jęła robić swemu mężowi coraz to straszliwsze i niesprawiedliwsze wyrzuty, męczyć go dniem i nocą, mścić się na nim za wszystkie doznane upokorzenia i bóle, za całe owo, biedne, niby przez niego złamane życie. A może być także, że Alkiewicz uczuł nagle, jak i jego podrastające dzieci rosną w nienawiści do ojca, w żalu do nie-

go, za samotność swych lat pierwszych, za prześladowania ze strony okrutnych rówieśników.

...I zrobiło się nagle ciemno w małym świecie Szymona Alkiewicza. Może „zbudził się” znowu, tak, jak wtedy, na swym ślubie, przed laty, i powiódł dokoła błędnym, zdziwionym wzrokiem i spostrzegł, że—jest sam.

Wtedy uśmiechnął się brzydko, wziął gruby sznur i powiesił się na klamce drzwi swego małego pokoju, w którym był taki nieporządek i były tylko trzy kąty.

9.

...Ale rozpisałem się długo i szeroko o życiu i śmierci Szymona Alkiewicza, a tu chodzi raczej o to, żeby się wreszcie zdecydować, co począć z jego zapisem dla miasta. Irytująca to rzecz, że dla takiej drobnostki (bo cóż to jest 1,000 reńskich?—bagatelka, głupstwo, które można ostatecznie wziąć albo nie wziąć) codziennie odbywają się długie posiedzenia w ratuszu i tylu poważnych obywateli traci tyle drogiego czasu.

...Przeglądam mechanicznie papiery, pozostałe po Alkiewiczu i czytam między innemi ustęp następujący:

„— Jakże smutne i nudne jest miasto, w którem się urodziłem i obecnie mieszkam! Wszystko takie proste, jak kij, i regularne, jak dzień powszedni, i symetryczne, jak małe myśli małych ludzi

Jakże brzydkie jest miasto, w którem się urodziłem!,.. Domy stoją sztywnie i w równych szeregach, jak żołnierze i mają na głowie brzydkie, płaskie, czerwone czapki. Niema tu ani jednego miejsca, ani jednego budynku, niema tu nic, cobym lubił... I tylko lubię czasem spoglądać na fasadę ratusza, która wygląda, jak twarz zajmująco nierówna, cudownie skrzywiona... A ten piękny wyraz twarzy ratusza pochodzi może ztąd, że z lewej strony jest pięć okien i pięć figur z kamienia, gdy z prawej strony są tylko trzy okna i trzy figury. Zresztą cieszą mnie jeszcze inne nierówności i zmarszczki... Jest mech nad czołem twarzy i duża, czarna plama nad wielkiemi ustami"...

...Wyraz twarzy ratusza... twarzy ratusza—powtarzam kilka razy z ironicznym uśmiechem.

A potem wpada mi, jak z nieba, dobra myśl do głowy.

## 10.

Na jutrzejszem posiedzeniu w ratuszu postawię mniej więcej taki wniosek:

Legat Szymona Alkiewicza miasto — przyjmuje. A użyje go na — restauracyę i odświeżenie ratusza. Mianowicie: na usunięcie pewnych nierówności, zmarszczek i innych braków na twarzy... przepraszam... fasadzie głównej. Użyje go na częściowe pokrycie kosztów tak ważnych i koniecznych robót, jak: wybicie czwartego i piątego okna po pra-

wej stronie (od środkowego portalu), wzniesienie dwóch jeszcze pomników zmarłych ojców miasta po tej samej stronie i t. d.

... Nagle dusza moja zadowolona, a sumienie lekkie, jak ptaszek. Nagle rozumiem siebie i boskie intencye. Wiem, na co jest życie nawet takiego potwora.

Rachunek mój i miasta z Szymonem Alkiewiczem załatwiony. *Requiescat in pace!*

---

# JOUR FIXE.

Najczęściej było ogromnie nudno. Goście ziewali tak cynicznie, że aż odpowiadało im echo (bo w salonie była za dobra akustyka). Ale niekiedy zbierali się wypadkiem wcale możliwi ludzi.

Naprzykład z pierwszorzędnych piękności signora Aurora. Albo z arystokracyi książę Cosimo. Albo ze świata literackiego, poeta Heliotrop.

Salon był własnością rodziny Fioravantich (zwykli kupcy, ale zresztą wcale porządni ludzie). Przy tem należał do najpiękniejszych grobowców na całym cmentarzu. A jeżeli była pełnia, to oświetlenie było wprost królewskie...

Przyznawała to nawet panna Flora († w roku 1812 na żółtą febrę), która zresztą narzekała na wszystko.

Mebli nie było żadnych (tylko kilka dużych kamieni i dwie stare trumny) ale za to były cudowne malowidła na ścianie (pędzla Fra Filipa). A zawsze pachniało morze, czasem z słodką mimozą, a niekiedy z kwiatami magnolii.

— Baedeker utrzymuje, że Piza ma najpiękniejszy cmentarz we Włoszech — rzekł książę Cosimo, mieszając herbatę — ale to nieprawda... Nasz o wiele ładniejszy...

— Tak—zgodziła się gospodyni (z domu Fioravanti)—Messina ma ładniejszy...

— Przedewszystkiem lepsze powietrze — ciągnął Cosimo leniwie konwersacyę.

— Bo nad morzem — dokończyła apatycznie Fioravanti.

Pomyślała: Choćby o najgłupszych rzeczach... Byle nie milczeć.

Na szczęście wszedł drugi gość. Ubiór jego był jeszcze dosyć biały, więc widocznie umarł niedawno. Nawet twarz była o tyle zakonserwowana, że się odgadywało dawny kolor włosów. Zanim gospodyni zdołała przedstawić go księciu, tenże powstał i zawołał:

— Anselmo!...

— Tak, Anselmo—potwierdził przybyły i spojrzał uważnie na księcia.

Gospodyni była (nie wiedzieć dlaczego) mocno zakłopotana i jęła prędko mówić o pogodzie...

Ale Anselmo spoglądał ciągle na księcia (który nie unikał bynajmniej jego wzroku) i wreszcie ku najwyższemu zdziwieniu pani Fioravanti, serdecznie się roześmiał.

— O, pan się śmieje—rzekła Fioravanti.

— Bardzo panu do twarzy—dodał książę.

Anselmo się ukłonił.

— *Tante grazie*... Za życia się nie śmiałem... I sam się dziwię, że odkąd tu jestem...

— To wpływ miejsca i klimatu — zauważył książę, zapalając swobodnie papierosa.

— Zwłaszcza ostatnie lata mego życia — mówił Anselmo — były o wiele smutniejsze, niż czas obecny na Campo Santo...

Książę uśmiechnął się przyjaźnie.

— Bardzo wierzę... I szczerze pana przepraszam za te ostatnie lata, które niejako z mojej winy spędziłeś w więzieniu...

— To moja wina—przerwał Anselmo — a raczej...

— A raczej niczyja — dokończył łagodnie książę.

Niczyja—powtórzyło echo.

Nastała cisza. I słychać było jak na ziemi, nad morzem szumiały cyprysy. Weszła Signora Aurora († w r. 1890 na miłość) w towarzystwie poety Heliotropa i słynnego złodzieja Pafnucyusza.

Gospodyni przedstawiła obecnym Anselma. Aurora zaczęła go zaraz kokietować, pokazując swe złote plomby i potrząsając brylantami, które zdobiły jej suchą czaszkę. Bo był z całego towarzystwa najmłodszy.

— Na co pan chorował? — zaczęła konwersacyę.

Wskazał z uśmiechem na Cosima.

— Chorowałem na księcia... Całe życie przemyśliwałem nad tem, jakby go zabić... I wkońcu go zabiłem...

— Czy to prawda?—spytała Aurora obecnych...

— Prawda—odpowiedział książę — on chorował na mnie, a ja na niego... Całe życie drżałem przed jego sztyletem i w końcu ten sztylet mnie zakłuł...

Pafnucyusz się zaśmiał.

— Oj, głupie życie... Anselmo, dlaczego zabiłeś księcia?...

— Bo kochałem Włochy. Cosimo był wrogiem wolności...

Poeta spytał:

— Cosimo, dlaczego byłeś wrogiem wolności?

— Bo kochałem Włochy...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Oj, głupie życie, głupie...

Fioravanti się skrzywiła, bo nie lubiła hałasu.

— Kto chce herbaty?—spytała, aby ich zająć herbatą.

Ale towarzystwo śmiało się coraz więcej, stukało szkieletami i śpiewało w takcie:

— Oj, życie, głupie życie.

Aż nagle jękły żelazne drzwi domu Fioravantich i w progu zjawił się wysoki mężczyzna.

— Co to za śpiewy i krzyki — powiedział z niesmakiem—w grobowcu Allegrich narzekają, że przez was spać nie mogą.

Aurora spojrzała na niego z wdzięcznym uśmiechem...

— Nie zrzędź, Enrico, nie zrzędź... Chodź i baw się z nami...

Enrico nawet na nią nie popatrzył (bo to był

człowiek, który za życia kochał bardziej pieniądze, niż kobiety). Wszedł jednak i usiadł, a nawet zaczął pić herbatę, którą mu podała signora Fioravanti.

Książę i Pafnucyusz grali gdzieś w ciemnym kącie w swe własne kości. A poeta w górę patrzył i cicho, a miłośnie rozmawiał z księżycem.

Enrico pił i jadł, ale mruczał. A kobiety usiadły przy nim blizko i czule na niego spoglądały bo ich nigdy nie kochał). Enrico mruczał:

— Śpiewacie zawsze to samo... Zawsze „oj, głupie życie“... Lichy kuplet uliczny... Banalni jesteście... Banalni i zazdrośni... Wiecie, że życie jest słodkie, jak miód... I dlatego wyjecie... Bo wam tęskno za życiem...

— Nie tęskno, Enrico—mówiła z goryczą pani Fioravanti — mój mąż bił mnie niemiłosiernie w dzień i w nocy...

— Dobrze robił — mruknął Fnrico — a co robi teraz?

— Śpi — rzekła Fioravanti z pogardą — śpi w drugim pokoju, w towarzystwie przodków. W tej rodzinie śpią wszyscy... Ja jestem z Carnesich...

Szumiało morze i szumiały cyprysy.. A Heliotrop słodko i cicho rozmawiał z księżycem...

— I mnie za życiem nie tęskno, Enrico—szeptała Aurora — miałam hebanowe włosy i zbielały pod wieczór, tak jak noc bieleje nad ranem... Miałam oczy jak gwiazdy i gasły i zgasły... Miałam usta jak róże i rubiny i zwiędły i spaliły się w popiół...

— Wygrałeś — powiedział książę Cosimo do Pafnucyusza złodzieja.

I znowu grać zaczęli. Pafnucyusz siedział odwrócony i nikt nie widział, jak oszukiwał księcia.

— Wszyscy żyliście jak dzieci—mówił Enrico do kobiet—i dlatego nie macie miłych wspomnień... Czekajcie... ja wam opowiem, jak żyłem...

I zaczął im mówić o swych bogactwach (był największym kapitalistą w Messinie) i bardzo się chwalić, jak mu było dobrze, aż do samej śmierci.

Na to wszedł do salonu zmarły przedwczoraj (na zazdrość) młodzieniec, który chodził już przeszło godzinę od grobu do grobu i wszędzie się pytał, czy tu wypadkiem nie leży piękna Aurora.

Wszedł do salonu i spytał:

— Czy tu nie leży piękna Aurora?

Enrico odrzekł sucho:

— Najpierw się puka, zanim się wchodzi...

I dodał:

— Tu nikt nie leży... To salon, uważa pan, a nie alkowa.

Tymczasem Aurora rzuciła się już na szyję młodzieńcowi, który jej nie poznał i nawet niegrzecznie od siebie odtrącił.

— Powiedzcie mi—prosił — powiedzcie, gdzie ona? Była piękna jak słońce zanim ogarnęła mnie noc zazdrości i zacząłem jej złorzeczyć... Teraz wyleczyła mnie śmierć... i znowu kocham... Gdzie Aurora?

— Tutaj — odpowiedział Enrico z uśmiechem

złośliwym i wskazał palcem na (trochę już nadpsuty, ale jeszcze błyszczący) ideał młodzieńca.

Ale młodzieniec nie uwierzył i bardzo się rozgniewał.

— Nie szydź ze mnie, błaźnie!—krzyknął z płaczem i wybiegł z salonu, by dalej się wałęsać od grobu do grobu i wszędzie pytać, czy tu wypadkiem nie leży piękna Aurora.

Enrico popijał herbatę i rezonował i dalej się przechwalał:

— Osły, osły... Żyliście jak waryaty i dlatego nie macie wspomnień... Ciebie, Auroro, zdradziła piękność i dlatego był gorzki twój zachód... Jak można liczyć na piękność?... Tego młodzieńca koniec był gorzki, bo ty go zdradziłaś... Jak można liczyć na kobietę!... Nikt z was nie miał pięknego życia, bo żyliście jak dzieci...

Pił herbatę i przechwalał się i kłamał:

— Tylko moje życie było piękne od rana do wieczora... I teraz mam o czem myśleć... Bo miałem miliony... A złoto się nie psuje i złoto jest wierne... Cieszyłem się niem aż do końca... Kiedy umierałem, w skrzyniach moich więcej było pieniędzy, niż w całej Messinie...

Kiedy tak mówił, wstał nagle Pafnucyusz, zbliżył się do niego znienacka i zaczął mu się śmiać w oczy tak zuchwale i brzydko, że Enrico zadrżał i oniemiał...

— Nie kłam Enrico — szeptał złodziej — nie kłam, Enrico... Gdy umierałeś skrzynia twoja była pusta...

Zrobiło się cicho... A potem wybuchł śmiech ogólny... Bo Enrico tak się trząsł ze wstydu czy gniewu, że odpadła mu dolna szczęka i rozbiła się na kamiennej posadzce...

A Pafnucyusz opowiadał z tryumfem, jak okradł skąpca... Jak złoto oszukało Enrica na starość z młodym złodziejem...

Enrico wstał i powiedział oczami (bo ustami już nie mógł) do gospodyni:

— Dziwnych ludzi przyjmujesz w twym domu, signoro Fioravanti..!

I odszedł.

Wśród ciszy słychać było głos Heliotropa, który patrzył w górę i mówił:

— O, cudna nocy, moja kochanko... Srebrny śnie ziemi...

Fioravanti myślała:

— Poeta Heliotrop miał prawdziwe życie... Bo go nie żył i tylko śnił... A życie jest snem... Poeta Heliotrop miał życie...

# TRUDNA DECYZYA.

Adam siadł naprzeciw niej przy stole, a kiedy wypiła szklankę, to jej zaraz dolewał i patrzył się uważnie jak pije i czy się jeszcze nie śmieje.

— Nie jesteś już tak blada, jak przedtem...

Wyglądała teraz trochę inaczej, jak na ulicy. Ale oczy były naprawdę czarne... Najpierw kryły się bojaźliwie, ale potem zaczęły spoglądać na niego.

Adam nagle bez powodu się zmieszał.

— Dlaczego nie pijesz?

Patrzała na niego tak śmiało i ciekawie, że ogarnął go niepokój...

Zaczęła mówić... Zaczęła wypytywać się go o różne rzeczy... Kim jest, gdzie mieszka i jak się nazywa...

Adam spostrzegł, że ona nie ma czarnych włosów, tylko kasztanowe, i że właściwie jej oczy nie są czarne, tylko piwne.

A kiedy wybiła dwunasta godzina, zaśmiała się po raz pierwszy.

I przez chwilę Adam przestał mówić. Bo zaśmiała się tak dziwnie i przykro, jakby chciała mu naumyślnie ból sprawić... Adam wiedział jednak, że to nie było naumyślnie, i powiedział sobie, że to, bądź co bądź, bardzo piękna dziewczyna... I myślał sobie wogóle co tylko mógł, byle nie być smutnym i pozbyć się niepokoju.

Zaczął nawet po chwili udawać, że się w niej kocha, i robił to długo i z wielkim przymusem, nie wiedząc sam dlaczego udaje. A chcąc jej dowieść, że nie ma przed nią żadnych tajemnic, odpowiadał jej dokładnie i szeroko na każde pytanie, a nawet zwierzył się jej z tego, że dostał niedawno list od znajomej z Sambora, i że ma przyjaciela w domu obłąkanych, którego musi odwiedzić. Pomimo, że o to właściwie go nie pytała.

Powiedział jej wszystko, co go męczyło przez cały dzień.

— Muszę pójść do przyjaciela w domu obłąkanych—mówił, unikając jej wzroku—muszę, a naraz okropnie się boję... Jeszcze dziś rano tak się nie bałem, ale teraz nagle czuję takie jakieś zimno i strach, kiedy mówię „w domu obłąkanych"... Przecież wiem, że mi tam nic złego nie zrobią... A nie mogę sobie wyobrazić, jak tam pójdę... I nie wiem, kiedy się na to zdecyduję.

Na to ona powiedziała nagle coś niespodziewanego. Powiedziała coś ze śmiechem, czego Adam nie dosłyszał, a co przecież tak dobrze zrozumiał, że aż zbladł.

— Kiedy tak mówisz... — zaczął drżącym głosem.

Ale ona znowu spoważniała i, udając starszą siostrę, poradziła mu, żeby poszedł do przyjaciela jaknajprędzej.

— Idź najlepiej jutro, to się pozbędziesz...

Adam kiwał posłusznie głową. Siedział skulony i drżał w duszy jakby z zimna, ale powtarzał mechanicznym głosem dziecka:

— Pójdę, to się pozbędę... Pójdę, to się pozbędę...

Teraz ona sama dolewała wina jemu i sobie. Była bardzo podniecona i—śmiała się. Adam cierpiał bardzo, patrząc na jej prędkie ruchy i słuchając jej głosu. A przytem prześladowała go myśl, że to jakaś całkiem obca i, może, niebezpieczna osoba. Uważał bacznie, czy nie wsypuje mu do kieliszka jakiegoś proszku... Bo miała takie oczy...

— Musisz pójść koniecznie—przypominała mu co chwila, jak na złość, to, co go czekało.

— Pójdę — odpowiadał Adam zgnębiony i drżący.

Zdawało mu się, że ta kobieta, z którą siedzi i pije, to jakaś znajoma z ciężkich snów i gorączkowych nocy. Ale siedzieć z nią musiał, bo ją przecież sam zaprosił.

Była już trzecia rano, kiedy zawołał chłopca i kazał mu przynieść znowu butelkę. Ale chłopiec zaczął przepraszać i tłómaczyć, że trzeba już zamknąć restauracyę.

Kiedy żegnali się na ulicy, dziewczyna spytała go raz jeszcze:

— Pójdziesz jutro?

— Jutro... — odpowiedział.

Poszedł prędko, bojąc się nawet spojrzeć po za siebie.

Ale nazajutrz nic się już nie bał. Bo świeciło słońce.

Pomyślał, że tej dziewczyny z pewnością nigdy nie zobaczy. A jeżeli kiedy przypadkiem ujrzy ją zdaleka, to ucieknie. A gdyby go nawet złapała gdzieś znienacka i spytała się, czy... już był, to skłamie, że był.

I będzie sobie żył spokojnie i szczęśliwie.

Odwiedzi z pewnością Leona. Ale... nie zaraz. Pójdzie dobrowolnie i wtedy, jak będzie miał ochotę. Jest przecież panem swej woli i nikt nie może go zmusić. Pójdzie za sześć dni... czyli za osiem... a może aż po świętach. Najlepiej po świętach. A do świąt będzie wolny.

Ale czwartego dnia rano przyszedł znowu—list.

Nagle, jak nieszczęście.

Adam nie otworzył nawet koperty, bo poznał pismo i wiedział, co to jest i od kogo. Zresztą nie miał odwagi, bo w liście mogły być gorzkie wymówki, albo i coś gorszego...

Ale to jedno było pewne, że już nie ma rady i trzeba pójść koniecznie do Leona. Trzeba sobie przysiądz, że się pójdzie. Trzeba sobie oznaczyć ścisły termin. Skazać się na tę i na tę godzinę.

Powiedzieć: przysięgam, że pójdę jutro o jedenastej rano...

Potem zrobiło mu się zimno. Uśmiechnął się, ale wargi mu drgały.

— To głupstwo — szepnął.

Zaśmiał się głośno i powtórzył:

— Głupstwo... Zobaczę zwykły dom waryatów... Zrobię mały spacerek i wstąpię do zwykłego domu waryatów...

Trząsł się coraz więcej. Wziął nawet na siebie płaszcz, żeby nie dzwonić zębami.

Potem siedział długo, nieruchomie wpatrując się bacznie w jeden punkt...

Na ścianę, przy oknie padało słońce. Szedł taki pas szeroki i jasny, a na tym pasie słońca tańczyły i płynęły, drgając, czarne, równoległe nitki, na dół i do góry... na dół i do góry... Tak, jakby światło odbijało się o jakąś wodę... Adam jął szukać bezmyślnym, sennym wzrokiem tej wody... Bo gdzieś musiała być... Albo w pokoju, albo za oknem...

— O czem ja myślę? — krzyknął na siebie z wściekłością—o czem?

Uderzył się silnie w czoło.

— Przecież jutro rano o jedenastej...

Wstał, zaczął biegać po pokoju i powtarzać nerwowo, mechanicznie:

— Jutro... jutro... jutro...

Nagle chwyciła się go myśl o możliwości jakiegoś dobrego wyjścia, jakiegoś nadspodziewanie pomyślnego zwrotu, ratunku... I począł instynkto-

wo szukać listu. Bo w liście mogła być poprostu niespodzianka... Trzeba go przeczytać, bo może zawierać całkiem coś innego, jak to, co myślał... Może nie być wcale od siostry Leona, albo może być w nim wiadomość, że Leon umarł, i że wobec tego nie potrzeba się już trudzić do domu waryatów, tylko, jeśli łaska, na cmentarz...

Przeszedł go dreszcz radosny. W liście mogła być śmierć Leona. Ułaskawienie... Gdzie list?

Nie mógł go znaleźć. Nie wiedział już sam gdzie go położył, czy rzucił... A to przecież list, od którego zależy spokój, szczęście... Poprostu ułaskawienie...

— Cóż u dyabła!... Nie mógł się zgubić... nie mógł się zgubić...

Na czworakach i z coraz większą złością szukał długo pod stołem, pod komodą, pod łóżkiem.

— Czego pan szuka?—spytała gospodyni, która weszła w tej chwili do pokoju.

Wstał natychmiast, blady z przerażenia.

— Nic... — szepnął.

Gospodyni spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Nic nie szukam—powtórzył obcym, drewnianym głosem.

I schował przytem obie ręce po za siebie. Jak mały chłopczyk. A kiedy gospodyni wyszła, ogarnęła go bezwładna rozpacz...

...Ona mnie znowu podpatruje... Szpieguje tak, jak przedtem. Ma złe sumienie, bo... list skradła. Tak, jak robiła to dawniej. Ile razy ją spytałem, gdzie list, to udawała, że się dziwi i że żaden list

nie przyszedł... Znowu skradła. Znowu ktoś ją podmówił, przekupił...

...A teraz już nie ma ratunku, kiedy list skradziony...

Rzucił się na sofę, a przez głowę snuły mu się męczące, rozpaczliwe myśli.

...Nie ma listu... I cóż zrobię? Nie ma dowodu, że jestem wolny. Skazaniec mówi, że król list napisał... Ale to na nic... Bo nie ma dowodu, czarnego na białem... Więc będzie szubieniczka... Można jęczeć i zaciskać pięście... ale szubieniczka swoją drogą... Każdy może powiedzieć, że pismo zaginęło... Nie ma głupich...

Ocknął się znowu... Ale już przez cały dzień czuł się jak skazaniec. Chociaż chodził po głównych ulicach, był tam, gdzie dużo ludzi i słuchał rozmowy, śmiechu i nawet muzyki.

...Zresztą aż do wieczora świeciło słońce... I było jak w lipcu...

Czasem przez sekundę myślał o czem innem. Jechało kilka powozów. A pierwszy powóz ciągnęły białe konie. I w powozie siedziała panna w białej sukni i z zakrytą twarzą...

Ktoś powiedział:

— Ona ma osiemnaście lat, a on czterdzieści.

Adam się zastanowił.

...Dwadzieścia dwa lat różnicy — wyrachował sobie.

A potem pobiegł szybko za powozem, żeby zobaczyć jak to wygląda...

Ale nagle się wstrzymał. Tak jakby sobie przy-

pomniał, że właściwie ma iść w inną stronę i nie ma czasu.

...Dlaczego nie robię, co mi się podoba—spytał ze zdziwieniem.

I przestraszył się w tej chwili, bo usłyszał, jak ktoś szepnął: „jutro"...

A więc dlatego... Ten jego strach był zazdrosny o wszystko i nie pozwalał mu o czem innem myśleć. A on słuchał go jak wierny pies i zawsze do niego wracał.

Pachniały akacye. Było gorąco i okna wszystkich domów były otwarte.

...Grają *sonate pathètique* — zauważył Adam i stanął pod jednem oknem.

Ale strach ukłuł go w serce.

...O czem myślisz? — spytał się go, jakby z uprzejmym uśmiechem i delikatnie—przecież wiesz dobrze, że jutro rano o jedenastej...

...Do dyabła!—krzyknął Adam—sam się męczę. Dlaczego nie patrzę się spokojnie na panny w białych sukniach i nie słucham, jak grają na fortepianie? Możnaby całkiem zapomnieć i być szczęśliwym. Ale rzecz ma się wyraźnie tak, że sam chcę cierpieć.

Był pewny, że właśnie na tem polega strach. Na tem, że człowiek sam chce cierpieć.

I bał się ciągle albo myślał o strachu. Nie odstępowało go przez cały dzień zimno. Pomimo, że tłómaczył sobie ciągle, jak to jutro będzie przyjemnie. I pomimo, że czekał go tylko zwykły dom waryatów, a szło się do tego domu bardzo pięknie

przez dalekie przedmieście i robiło się właściwie pyszny spacerek.

Strach zawarł z nim taką przyjaźń, jak z człowiekiem, którego nazajutrz mają stracić, i był z nim ciągle i wszędzie aż do późnego wieczora.

A kiedy, zmęczony całodzienną torturą, rzucił się jak nieżywy na łóżko, to strach siedział jeszcze przy nim, tak jak siedzi niańka przy dziecku i szeptał łagodnie, dobrotliwie i słodko:

...Jutro rano... Pamiętaj, że jutro rano musisz koniecznie...

---

## II.

Przy umywalni stał wysoki, chudy pan i obcierał się ręcznikiem. Miednica była pełna krwi.

Adam patrzał na niego jak przez sen. Myślał: „zkąd znam tego człowieka". Nie był pewnym, czy to znajomość z kawiarni, czy jakiś dawny kolega. Znał go zresztą na wylot, tylko nie wiedział kto jest i jak się nazywa.

Wysoki pan spojrzał na niego z ukosa.

— Niech pana dyabli wezmą — rzekł bez gniewu.

Adam się uśmiechnął.

— O mało nie wybił mi pan oka—mówił wysoki pan, obcierając sobie twarz.

Adam myślał: „zkądże znam tego człowieka"?

Nieznajomy robił rozmaite ruchy lewą nogą.

— Nie jestem pewny, czy niema zwichnięcia. Rzucił mię pan na ziemię, jak worek.

— O! — zdziwił się Adam.

A potem zaczął się tłómaczyć:

— Myślałem, że pan złodziej. Bo tu, na drugiem piętrze, obrabowano zeszłego roku starą wdowę, która miała książeczkę kasy oszczędności. Zresztą śniła mi się właśnie bardzo przykra awantura... Niech pan uwzględni, że była dopiero szósta.

— Bo taka była umowa—przerwał pan, wkładając kamizelkę—powiedziałem, że przyjdę dziś raniutko po pana i pójdziemy na spacer.

— Nic nie wiem—zdziwił się znowu Adam.

— To ma pan krótką pamięć.

Adam się zamyślił.

— A teraz pójdziemy na spacer? — spytał ciekawie.

Wysoki pan wyjął z kieszeni mały grzebyk i zaczął się czesać.

— Jest dwadzieścia stopni w cieniu... Czy pan myśli, że dam sobie zepsuć taki piękny dzień?

— Śliczny dzień — potwierdził Adam.

— Czy pan gotów?

— Tak.

Adam się zerwał.

— Zaraz — powtarzał śpiesznie i zaczął się krzątać.

Przewrócił przytem krzesło i skrzynkę z gwoździami, która stała na krześle.

— Pst, pst... — syknął nieznajomy i podniósł do góry grzebyk.

— Przepraszam — zmieszał się Adam i zaczął chodzić na palcach.

Mimo to weszła zaraz do pokoju gospodyni.

— Co tu jest?—spytała, rozglądając się.

Ale wysoki pan kiwnął tylko ręką i zaraz wyszła.

Adam uśmiechnął się z satysfakcyą. A potem zbliżył się do nieznajomego.

— Nikt mi nie chce wierzyć—szepnął mu prawie do ucha—ale teraz pan sam widział. Ona czeka tylko na sposobność...

— Hm — mruknął wysoki pan, patrząc do lustra...

A potem spytał zimno:

— Pan nie chce iść na spacer?

— Owszem, owszem...

Adam zaczął znowu się krzątać. Myślał sobie przytem, że trafiło mu się coś pysznego. Czy on temu winien, że nie może dziś dotrzymać przysięgi? Nie.—Winien jest ten człowiek, który go ciągnie na spacer. Ogarnęła go taka radość, że uczuł potrzebę głośnego gadania i zbliżył się znowu do nieznajomego pana.

— Powiem panu tylko jeden fakt—rzekł, mrugając dowcipnie oczami.

— Jaki fakt?

— Względem tej osoby, tej mojej gospodyni.

Nieznajomy nawet się nie odwrócił, tylko mruknął:

— Niech pan się ubiera, bo nie mamy czasu.

— Bo ja chciałem tylko...

— Opowie mi, czcigodny pan, na spacerze...

— Tylko słówko... Bo wczoraj przyszedł list.

Teraz wysoki pan się odwrócił.

— Pan dostaje znowu *listy?*—spytał z pewnem zajęciem.

Adam cofał się.

— Pan wie o listach...

Nieznajomy klasnął niecierpliwie palcami.

— Naturalnie, że wiem... Któż ma wiedzieć, jeżeli nie ja... Więc przyszedł znowu, tak, jak przed dwoma tygodniami?

Adam spojrzał na niego ze strachem i z podziwem.

— Ach, pan wie wszystko. Pan jest tak pewny siebie i tak... Muszę przyznać, że jak pan kiwnął tylko jednym palcem na tę osobę, to ona zaraz wyszła.

— A co było w tym ostatnim liście?—przerwał szybko nieznajomy, patrząc mu w oczy.

Adam się zawahał. Ale przecież odpowiedział wszystko. Nieznajomy wysłuchał go cierpliwie i z zajęciem.

— To dziwne—rzekł przy końcu.

— Prawda?—potwierdził Adam z pewnem zadowoleniem.

Nieznajomy położył mu rękę na ramieniu.

— Jakże się nazywa ten... przyjaciel, którego pan ma odwiedzić?

— Nazywa się... nazywa się... Leon.

— No tak, ale... z nazwiska?

— Nie wiem.

Nieznajomy przez chwilę się zamyślił.

— Gdzie ten list?—spytał nagle.

— Przecież panu mówiłem...

— Co?

— Że ona skradła.

— Ach tak... skradła...

Nieznajomy spojrzał, z roztargnieniem na zegarek.

— Ja panu coś powiem.

Adam spojrzał na niego oczekująco. Miał uczucie: „teraz czegoś się dowiem... on mi wyjaśni wszystko, co mię niepokoi i męczy".

— Powiem panu, że to się dobrze trafia. Bo my możemy zaraz tam pójść.

Adama przeszedł dreszcz.

— Tam?—spytał cicho.

— No, tak — mówił prędko nieznajomy — bo pan chce odwiedzić przyjaciela. Więc pójdziemy tam... na spacer.

Adam milczał.

— Niech pan się ubiera.

— Zaraz — szepnął Adam — tylko...

— Co?

— ...Bo ja mogę pójść i w inny dzień...

— Ależ dlaczego? — przerwał mu nieznajomy szorstko — dlaczego odkładać?

Adam uczuł takie zimno, jak dzień przedtem. Czuł, że ten człowiek go zmusza i że teraz niema już wyjścia.

— Weźmiemy fiakra — powiedział nieznajomy.

— Co? — krzyknął Adam, prawie płaczliwie, z nagłym strachem—przecież mamy iść na spacer...

Nieznajomy się zawahał.

— Ma pan racyę — rzekł z łagodnym uśmiechem — po co jechać, kiedy tak ładnie... Pójdziemy sobie powoli, pieszo... Niech pan tylko się ubierze...

— Już się ubieram — mówił Adam drżącym głosem.

Nieznajomy rozsunął firanki i otworzył okna. W pokoju zrobiło się jasno i czuło się, jak wpłynęło ciepłe i świeże powietrze.

— On tu gospodaruje, jak u siebie — myślał Adam — i będę musiał go słuchać. Bo to już taki człowiek. Doprowadzi mię w końcu do tego, że zrobię to, czego się bałem. I będę mu nawet wdzięcznym, jeżeli się pozbędę. Zrobi niejako wszystko za mnie, tak jakby mną ruszał.

I nabrał trochę otuchy. Ale był mimo to blady i miał głos dziwnie słaby.

— Czy my tam długo będziemy? — spytał na schodach towarzysza.

Nieznajomy szepnął coś niezrozumiałego.

Adam przypomniał sobie naraz inną rzecz.

— Gospodyni pocałowała mię w rękę, kiedy wychodziłem. Nigdy tego nie robi.

— No i cóż?—mruknął nieznajomy.

— Zdawało mi się nawet, że ma zapłakane oczy... Dlaczego? Może widziała, że się na nią gniewam... Co?

— Może.

Nieznajomy był tak wysoki, że na ulicy oglądali się za nim ludzie. Szedł bardzo szybko.

— Przejdziemy prędko przez te nudne ulice — mówił do Adama—ludzie są nieprzyjemni. A potem nie będzie ani domów, ani ścisku, tylko piękne ogrody i wille.

— Tak, ludzie nieprzyjemni—powtórzył Adam—patrzą się w oczy. Może patrzą się dlatego, że pan taki wysoki.

— Z pewnością — potwierdził towarzysz.

Ale Adam dodał szybko, jakby mu było żal tego, co powiedział:

— Zresztą nie wiem, czy... tam nie będzie jeszcze gorzej. Ale pan powiedział, że tam długo nie zostaniemy... Prawda? Pomówię tylko z Leonem i pójdziemy.

Patrzał niespokojnie na towarzysza.

A kiedy byli za miastem, zaczęły się naprawdę wille i ogrody. Droga prowadziła pod górę. Adam szedł coraz wolniej i nagle stanął.

— Pan zmęczony?—zauważył nieznajomy i wziął go pod ramię.

— Czy to jeszcze daleko? — spytał Adam. — Serce mi bije.

— To nic—rzekł nieznajomy—to przejdzie.

Adam nagle się zmarszczył. Nie podobał mu się głos towarzysza.

— Oho! Pan mnie uspokaja — mruknął, czerwieniąc się — niema sensu mnie uspakajać. Niech pan nie myśli, że ja się boję. Nie jestem dziecko.

Wczoraj się bałem, ale kiedy już raz powiedziałem sobie, że pójdę, to pójdę.

Trzęsły mu się policzki.

— Ależ, drogi panie...

Towarzysz objął go wpół. A potem powiedział szybko, wskazując głową do góry:

— Niech pan spojrzy na ten wysoki, stary kasztan? Co? Śliczne drzewa.

Adam spuścił głowę i powtórzył smutno, bojaźliwie:

— Śliczne drzewa.

A za chwilę powiedział, patrząc na ziemię.

— Jak ja będę z nim mówił?... Tylko tego się boję... Powiedziałem panu, że to mój przyjaciel... Ale nie wiem, naprawdę, jak się z takim chorym człowiekiem mówi... Zresztą nie rozumieliśmy się nigdy... Nawet wtedy, jak był jeszcze zdrów i wesół.

Nieznajomy nic nie odpowiedział, tylko zwrócił się nagle w prawo.

Weszli przez małą, żelazną furtkę, otwartą naoścież. Teraz towarzysz puścił rękę Adama.

Zaraz zrobiło się jakoś dziwnie miło i cicho. Byli w dużym, cienistym parku. Szli wązką ścieżką między trawnikami, na których czerwieniły się kwitnące krzaki róż. Nie widziało się nic, tylko łąki, drzewa i róże. I nie słyszało się nic, tak, jakby na drzewach nie było ptaków, a na ścieżkach i łąkach żadnych ludzi.

Adam nagle przestał się bać. Szedł obok towarzysza, posłusznie, bez oporu, jak w hypnozie.

I nie czuł nic, prócz dziwnej ciekawości, która ogarniała go coraz silniej.

Nadsłuchiwał...

Nic się nie pytał nieznajomego, choć w duszy jego było tysiąc gorących, niespokojnych pytań. Tylko rozglądał się i nadsłuchiwał. Tak, jakby ta cisza i te drzewa, i róże były tylko na to, żeby coś zakryć, zasłonić. A po za zasłoną były jakieś niesłychane rzeczy, jakieś przeraźliwe zjawiska.

Był jakby wstrzymany oddech w powietrzu. Tak, jakby wszystko, co teraz stało zaklęte, nieruchome, jak na obrazie, nagle miało przemienić się w ruch, w krzyk, w jakieś szalone barwy i linie, jakieś straszne postacie i twarze.

Nadsłuchiwał, patrzył.

Zdaleka odsłonił się rąbek zasłony. Widać było jakieś słupy, błyszczące okna, drzwi i białe schody.

Pomyślał sobie, że to zakład. Ale nic się nie pytał, tylko szedł i patrzył.

Ukazał się nagle na ścieżce stary, zgarbiony człowiek w białym fartuchu i z czapką w ręku. Szedł powoli i tak obojętnie, że nie wiedziało się, czy ich już widzi i czy przed nimi zdjął czapkę. Szedł powoli i czem bardziej się zbliżał, tem silniej biło Adamowi serce. Bo to był pierwszy człowiek w ogrodzie. I Adam pomyślał, że skoro ten człowiek otworzy nagle usta, to usłyszy się pierwszy głos z po za zasłony. I że natychmiast za tym głosem

odezwą się inne. I zrobi się hałas, cały tłum, cała burza głosów.

Ale stary człowiek zbliżył się, milcząc. Dał tylko nieznajomemu jakiś papier i klucze, a potem mówili z sobą tak cicho, że Adam nic nie słyszał.

Kiedy tak szeptali, zaczerwienił się Adam nagle z gniewu. Wpadło mu na myśl, że ten stary człowiek nie zwraca na niego wcale uwagi, a przedtem nawet się nie przywitał.

— Przyszedłem zwiedzić zakład — powiedział naraz bardzo głośno i dumnie.

Starzec podniósł wzrok do góry. Miał zblakłe, niebieskie oczy.

— Zwiedzimy wszystko — odpowiedział spokojnie.

— Tylko trochę cierpliwości—rzekł półgłosem nieznajomy.

Wziął Adama silnie za rękę i odsunął go na bok.

Uścisnął go tak mocno, że Adam o mało nie krzyknął z gniewu.

— Potem z sobą pomówimy—szepnął ze strasznym uśmiechem.

Ale nieznajomy rozmawiał już znowu ze starcem w białym fartuchu.

— Mówiłem, że w czwartej sali trzeba dać inne klamki przy drzwiach. Czy już zrobione?

Stary potrząsnął głową.

— Pan dyrektor powiedział, że niema pieniędzy.

— Dobrze, dobrze — mruknął nieznajomy iro-

nicznie — jak się ktoś powiesi na klamce, to pan dyrektor każe zmienić.

— Aha—myślał Adam — chce mnie drażnić.... Mówi dlatego o wieszaniu się na klamce, bo mu ktoś opowiedział to, co zrobiłem przed dwoma tygodniami. Czekaj, mój kochanku, czekaj... Potem z sobą pomówimy.

Od tej chwili tego człowieka nienawidził. Postanowił sobie, że przy pierwszej lepszej sposobności pokaże mu, jak strasznie nim pogardza.

— Zkąd ja go znam?—wpadło mu znowu na myśl—i dlaczego tak go słucham?..,

Szli przez wązki korytarz. Pod jednem oknem siedziała mała kobieta w koszuli. Trzymała w ręku różaniec. Po jej żółtej twarzy płynęły łzy.

— Wypędzić tego człowieka i konia, i psa— prosiła monotonnie i cicho.

Nieznajomy zapalił papierosa.

— Ten pan ma tutaj przyjaciela—zwrócił się do starca w białym fartuchu, głośno i jowialnie.

— Ma przyjaciela — powtórzył starzec i skrzywił się przytem z trudem, jakby chciał się uśmiechnąć, ale już miał za stare usta i nie mógł.

Adam pomyślał, że byłoby przyjemnie wziąć coś ciężkiego i rzucić na tych dwóch sympatycznych ludzi. Przysiągł sobie także, że od tej chwili nie będzie już mówił do nieznajomego ani słowa i nie odpowie na żadne pytania.

Kiedy otworzyli już drzwi na końcu korytarza, to Adam jeszcze słyszał, jak pod oknem płacze mała kobieta z różańcem i prosi:

— Wypędzić tego człowieka i psa, i konia.

Weszli potem do bardzo dusznej sali, w której czuć było pot i karbol.

Na jednem łóżku siedziała młoda dziewczyna. i bawiła się dużemi kulami. Jej szyja i piersi były nagie.

— Jak się masz, Małgosiu! — zawołał nieznajomy.

— Nie patrzyć! Nie patrzyć!—krzyknęła dziewczyna ze złością i zasłoniła sobie piersi.

Miała tak śliczne, czarne oczy, że Adam aż stanął. Ale zaraz się odwrócił, bo przecież dziewczyna nie chciała, żeby na nią patrzeć,

Nieznajomy nie odwrócił się, tylko powtórzył ze śmiechem:

— Jak się masz, Małgosiu?

Na to Adam zbladł z gniewu i powiedział do nieznajomego cicho:

— Nie patrzeć się, do stu dyabłów!

I w tej samej chwili dziewczyna rzuciła kule w tę stronę, gdzie stali. Nie trafiła nieznajomego, ale Adam przecież miał pewną radość.

Zaśmiał się głośno i kiwnął do dziewczyny przyjaźnie głową. A ona uśmiechnęła się także i również głową kiwnęła.

Przeszli na korytarz, gdzie byli mężczyźni. Ale Adam myślał jeszcze o ślicznych, czarnych oczach dziewczyny i o tem, jak się uśmiechnęła do niego.

Przystąpił do niego piegowaty człowiek z oku-

larami. Przy twarzy trzymał chustkę, tak, jakby go bolały zęby.

— Dobry wieczór ekscelencyi — rzekł trochę niewyraźnie, ale z szacunkiem.

— Dobry wieczór—odpowiedział Adam.

Nieznajomy gniewał się na starca w białym fartuchu:

— Dlaczego tej dziewczynie nie odebrano kul?

— Pan dyrektor pozwolił — tłómaczył się starzec.

— Jak dziewczyna rozbije komuś łeb, to pan dyrektor każe odebrać.

— Wody, mam pragnienie, wody! — słychać było nagle jakiś głos z sąsiedniego pokoju.

Adam drgnął. A potem rzucił się jak szalony do drzwi.

— Co to? Co to znaczy?—spytał nieznajomy.

Ale Adam był już w drugiej sali. W pośrodku pokoju stał chudy blondyn z długiemi włosami, jak malarz albo poeta i wołał dźwięcznym głosem:

— Wody, wody!... Słyszycie?

Adam chwycił go za rękę.

— Leon?... Nie poznajesz mnie? To ja...

Blondyn przestał wołać. Spojrzał na Adama długo i milcząc. A w końcu się roześmiał...

Na to zaczęli się śmiać wszyscy mężczyźni w sali. Starzy i młodzi, ci, którzy leżeli w łóżkach i inni, którzy siedzieli przy dużym, okrągłym stole.

Adamowi stanęła przed oczami młodość. Ten śmiejący się człowiek, chudy i żółty, z niebieskie-

mi oczami i z długiemi włosami przypomniał mu naraz dawne, bardzo dawne czasy, które leżały jak w mroku. Przypomniał mu czasy, w których był szczęśliwy, spokojny i lekkomyślny. Matkę, siostry, szkołę... wieś...

— Słuchaj — szeptał, a łzy cisnęły mu się do oczu—słuchaj, to ja... Adam, to ja... Adam... Łabędzki.

Blondyn spojrzał na niego jakby ze strachem. Cofnął się i powtórzył:

— Adam Łabędzki.

A potem przystąpił znowu do niego, zaczął go bardzo delikatnie, ostożnie głaskać po głowie i szeptał:

— Adam... Adam... Adam Łabędzki...

Było całkiem cicho w sali, chociaż znajdowało się w niej dwudziestu mężczyzn. I zrobiło się wielkie koło, a oni stali pośrodku. I słychać było każdy oddech, każde bicie serca...

— Przyszedłem, bo pisała do mnie twoja siostra.

— Moja siostra umarła.

Ale Adam tego nie słyszał. Zaczął przyjaciela ściskać i całować i nagle się rozpłakał. Wtedy nietylko przyjaciel, ale i wszyscy inni zaczęli płakać, tak, jak przedtem wszyscy się śmieli.

Adam wstał i mówił ze łzami, dziwnym, złamanym ze wzruszenia głosem:

— O, jak wy ze mną czujecie, jacy wy dobrzy? Nie tak, jak inni. Nie tak, jak ci, którzy mnie ciągle męczą, wyśmiewają i prześladują. Leo-

nie, mój bracie... Niegdyś nie mogliśmy się zrozumieć. Nazywano nas przyjaciółmi, ale tak nie było. Serca nasze nie mogły do siebie trafić. Ale teraz ja czuję twą duszę, a ty czujesz moją. Jesteś pierwszym człowiekiem, w którego oczach widzę siebie. Leonie, mój bracie.

Było cicho. I tylko było słychać jakieś straszne, stłumione szlochy czy szepty.

— Leonie, moje życie jest ciągłym bólem i płaczem. Moje życie jest nieszczęściem. Tam po za ogrodem waszym niema dla mnie ani słońca, ani kwiatów. A tu, u was, jest spokój. Bo czuję, że wy ze mną czujecie. Tu jest szczęście.

Było cicho. Tylko jakiś umierający powiedział radośnie:

— Tu jest szczęście.

Leon się zaśmiał.

— Zostań z nami!—zawołał wesoło.

I z różnych stron i kątów odezwały się różne stare i młode, jasne i chrapliwe głosy:

— Zostań... zostań z nami!

Wyszedł jednak na środek pokoju piegowaty pan z okularami i chustką przy twarzy, który rzekł łagodnie ale stanowczo:

— Szanowni panowie, to się nie da. Wyratowałem z wody dwunastu hrabiów i dostałem order złotego runa... Znam się na ludziach i wiem, że nasz olbrzym jego ztąd wypędzi. Wierzcie mi, panowie...

— Ho, ho! — wrzasnęło naraz kilka głosów— niech olbrzym spróbuje!... My mu pokażemy.

— Jaki olbrzym? — pytał Adam podniecony i czerwony.

— Ten, co z tobą przyszedł.

— Ten? — zawołał Adam. — Jak ja tej bestyi nienawidzę!

— I my!... I my... wszyscy! — krzyczeli mężczyźni—on jest nasz doktór, nasz kat.

— My go zabijemy!—krzyczeli inni. — Niech spróbuje! Musimy nareszcie łajdaka zabić...

Jak na komendę pobiegli wszyscy do swych łóżek i jęli wyrywać z nich z nieludzką siłą grube, żelazne pręty.

Podniósł się piekielny wrzask. A ze wszystkich najbardziej pijany był Adam. Stał na stole, potrząsając żelazem i raczył:

— Bracia, ja się nie dam, ja go zabiję... Niech poważy się mnie wypędzić...

Rozerwano nagle drzwi.

Do sali wpadł olbrzym, a za nim dwóch dozorców w fartuchach... Adam zaśmiał się strasznym głosem i cisnął żelazny pręt na nieznajomego...

Wtedy rzucili się na niego dozorcy, ściągnęli go na ziemię i zaczęli pętać mu ręce i nogi.

— On zostanie z nami—krzyczeli mężczyźni.

I został z nimi na zawsze.

# AKCYA RATUNKOWA.

— Ile pan ma lat?—spytała mnie dzisiaj pani kasyerowa. A kiedy jej powiedziałem, że dwadzieścia trzy, bardzo się zdziwiła. Nie wchodzę w kwestyę, czy ona ma mniej, czy więcej. Ale zrobiła takie oczy, jakby dotychczas nie wiedziała, że można wogóle być tak młodym.

Jest nas trzech oprócz gospodarstwa. Ja mam najmniejszy pokój, ale za to mieszkam sam. Obok mnie jest pokój z dwoma oknami i z fortepianem, na którym na szczęście nikt nie gra.

Wczoraj spotkałem w przedpokoju bardzo wysokiego człowieka z wąsami, który stał na jednej nodze gwiżdżąc i czyścił sobie trzewik.

Otworzyły się drzwi z jadalni i głos kobiecy zawołał: „Konradzie“! Na to wysoki człowiek mruknął: „zaraz“, a, zobaczywszy mnie, trochę się zmieszał. Zauważył, że zapewne dopiero od wczoraj tu mieszkam. Odpowiedziałem, że tak.

On zajmuje właśnie ten pokój koło mnie, z dwoma oknami, z fortepianem. Za to nie jest

sam. Ciągle się kłóci z drugą osobą. A ja słyszę każde słowo przez ścianę.

Wieczorem zeszliśmy się wszyscy trzej na schodach. Druga osoba to bardzo jasny blondyn, garbaty i cokolwiek niedbale ubrany. Jego towarzysz mówi do niego „Guzik", ale myślę, że on się inaczej nazywa. Guzik jest niby skromny, a niby ironiczny, zresztą źle wygląda i mówi tak cicho, że go ledwie można zrozumieć. Wysoki nazywa się Kowalewski.

— Czy pan już zna kasyera? — spytał mnie Kowalewski.

— Nie znam.

Na to Guzik uśmiechnął się i szepnął coś, czego nie dosłyszałem. Ale Kowalewski chyba zrozumiał,bo, oburzył się na garbusa.

Wziął mnie pod ramię.

— Kasyer jest bardzo miły człowiek, zobaczy pan. Jest strasznie dowcipny. Nikt z nas nie jest bez błędów. Guzik kłamie i jest wogóle złośliwy, zobaczy pan...

Po chwili dodał:

— A to, że biedaczysko trochę pije... Mój Boże!... Nikt z nas nie jest bez błędów...

Czuł widoczną sympatyę dla kasyera.

* *
*

Przy stole siedzieliśmy w takim porządku: na górze ona, z prawej strony Kowalewski, z lewej ja a na dole Guzik i kasyer.

Była pieczeń barania z sałatą, a potem przynieśli bardzo ładną, różową leguminę.

— To nie należy do pensyi! — powiedział kasyer — to jest niejako za darmo. Proszę panów. Możecie wziąć, ile wam się spodoba.

Także chleb z masłem nie należał do pensyi.

Pani kasyerowa zachowywała się tak, jakby była na wizycie i pensya nic jej nie obchodziła. Mówiła nawet o „Aphrodite“ Pierre Louys'a.

— Panie Konradzie—prosiła Kowalewskiego—proszę mi podać gorgonzolę i kawałek chleba.

Kasyer był w doskonałym humorze.

— ...Jechało raz dwóch Żydów z Przeworska do Lwowa. Jeden był gruby i wesół i palił fajkę. Drugi był chudy, smutny i zły. Na stacyi chudy zawołał: Panie konduktor, co to za porządek? To jest wagon dla niepalących, a ten gruby...

—„Aphrodite“ jest cudna — rzekła pani kasyerowa.

Guzik się skrzywił i odpowiedział:

— Szkoda, że pieczeń była przypalona.

Tym razem powiedział tak wyraźnie, że wszyscy zrozumieli. A potem już milczał.

Po leguminie kazał kasyer przynieść flaszeczkę wina.

— Antek — powiedziała pani kasyerowa, poczem spojrzała na Guzika i na Kowalewskiego.

— My nie będziemy pili — zastrzegł się Kowalewski.

Kasyer nie dosłyszał. A kiedy przyniesiono

wino, to pili wszyscy. Także kasyerowa. Zresztą nazywa się Aniela.

Wino było stare i słodkie. Smakowało mi tak, że wypiłem cztery kieliszki, a potem pytałem się w duszy z troską, czy też i wino należy do pensyi.

Pokazało się, że i wino za darmo. Trzeba mieć szczęście.

Po kolacyi zaprzyjaźniłem się nagle z Kowalewskim, który mówił, idąc ze mną na górę do naszych pokoi:

— Co za ludzie! Prawda? Myślą więcej o drugich, niż o swoim interesie. Wie pan, ile kosztuje taka jedna flaszeczka? Więcej, niż, to co płacimy dziennie za całe utrzymanie.

Trafiłem rzeczywiście nadzwyczajnie.

Będąc sam w pokoju, pomyślałem nagle, że między panią kasyerową a Kowalewskim coś jest. Nie wiem, zkąd mi to wpadło do głowy.

* *
*

Patrzałem przez okno, jak pan kasyer idzie przez ulicę. Bo pokojówka, która właśnie sprzątała u mnie, zwróciła na to moją uwagę.

— O, idzie właśnie nasz pan...

Oparła się o szczotkę i patrzała przez okno jak na przedstawienie. Uśmiechała się pobłażliwie.

Kasyer był mały, rudy i miał takie futro, jak włosy. Figura tego rodzaju, że ludzie stają na ulicy. A ja mam szczęście znać go osobiście i mieszkać z nim w jednym domu.

— Trochę się kiwa—zauważyła pokojówka.

Szedł rzeczywiście cokolwiek niepewnie. Pomimo, że była dopiero ósma rano.

— Rób swoją powinność—rzekłem zimno do pokojówki.

Na co roześmiała mi się w nos i jęła ścierać kurz z mego biurka.

Potem powiedziała od niechcenia:

— Przypominam sobie dobrze, jak pana wieźli do aresztu.

Zmierzyłem ją wzrokiem.

— No, tak... Nasz pan był przed dwoma laty w areszcie. A wie pan, za co?

Powiedziałem, że wiem. Ale nie wiem.

Wpadło mi na myśl, że może kasyer tylko dlatego pije. Zresztą weszła właśnie do pokoju pani Aniela.

Czy czego nie potrzebuję? Nie, rączki całuję. Czy wszystko w porządku. Dziękuję, wszystko.

Pokojówka sobie poszła.

— Nigdy nie myślałabym, że pan ma dopiero dwadzieścia trzy lat.

Uśmiechnąłem się. Tak samo jak wówczas, gdy mi mówią, że dobrze wyglądam, albo jestem podobny do ojca.

Ona ma takie oczy, jak te czarnobiałe rozkosze z haremu. Usta popękane i trzy złote plomby. Przytem pachnie.

Pokazało się, że wszystko jest „na jej głowie”. Mówiła ze mną pół godziny takim tonem, jak się

mówi o szarej godzinie do blizkich przyjaciół domu. Bardzo ją lubię.

Przytem pachnie.

* *
*

Kuję do ostatniego egzaminu. Bardzo niestosowna pora, bo jednocześnie się kocham.

Z kasyerem mówimy sobie „ty“. Zauważyłem, że on nigdy nie patrzy ludziom w oczy. Jest zawsze pijany, a wystarcza mu czasem jeden kieliszek. Robi już o ósmej rano dowcipy. Przeważnie w kuchni; sługi biorą się za boki.

Pokazuje się, że nie znałem dotychczas *une célébrité*. Mianowicie jego znają w całem mieście.

Mówiłem o nim z Guzikiem. Uśmiechnął się znacząco i mruknął coś bardzo ważnego, czego... nie dosłyszałem.

— Co pan mówi?

Guzik powtórzył:

— Niech pan się spyta jego żony, czy on dawniej także pił?

Naturalnie, że się nie spytam. Zapewne dawniej nie pił. A więc niby ona wszystkiemu winna. Bon. Guzik „nienawidzi kobiet“. To znaczy!... Jest garbaty.

Ona jest tak mądra kobieta, że z pewnością nic nie ma między nią a Kowalewskim.

* * *

Między nią a Kowalewskim coś jest. Ale to przecież mądra kobieta.

Dowiedziałem się dokładnie, jak to było z owem więzieniem.

Kasyer był niegdyś naprawdę kasyerem. Na kolei. Coś w rok po ślubie trafiło mu się jednak nieszczęście. Zaczął za dużo wydawać na żonę.

Ona go o to nie prosiła — broni ją Kowalewski.

Mniejsza o to. Dosyć, że pożyczył sobie coś z kasy. A ona dostała bajeczne brylanty.

Te brylanty ma i dzisiaj. Inny człowiek, opuściwszy więzienie, nie wiedziałby „co dalej“? Ale kasyer dostał posadę dyurnisty i żyje.

Bo ma mądrą żonę.

To wszystko opowiedział mi Kowalewski.

Jeszcze coś: każdy inny człowiek traci po więzieniu dobry humor. A kasyer robi już o ósmej rano dowcipy. Przeważnie w kuchni; sługi biorą się za boki.

* *

*

Była burza. Kasyerowa i Kowalewski...

Nie mogę powiedzieć, żeby kasyer nie był dziś w dobrym humorze. Ale wczoraj popołudniu wrócił niespodzianie wcześniej do domu i... potem coś się działo. Słyszałem przez ścianę jego głos. Tak jakby się przeraźliwie śmiał... ale zapewne się nie śmiał.

Wpadł do mnie Kowalewski, całkiem blady

i chociaż przyszedł niby poprosić o papierosa, to jednak odgadłem, że coś się stało.

Kasyerowa ma zapłakane oczy i chodzi na palcach. A o trzeciej w nocy zbudziłem się, gdy zajechała dorożka i wnieśli na górę śpiewającego kasyera. Była kolacyjka poza domem.

Słyszałem piskliwy głos Guzika.

— Do dyabła, czy w tym domu nawet w nocy nie można mieć spokoju?

Widać, że Guzik mówi także wyraźnie, gdy zechce.

Zajmuje mię nadzwyczaj człowiek, który jest zawsze w dobrym humorze.

Jestem z kasyerem na „ty“, muszę więc zbliżyć się do niego, aby poznać jego „życie wewnętrzne“.

Wczoraj przeszedł bez wątpienia coś przykrego. Więc dzisiaj rano spotkałem się z nim „przypadkiem“ w bramie, żeby trochę pogadać. Spytałem, czy mogę odprowadzić go do biura.

— Chodź, darmozjadzie! — odrzekł uprzejmie i gwizdnął na psa, który jest także rudy.

— Wczoraj wróciłeś późno do domu — zacząłem konwersacyę.

— A tak — zaśmiał się—tak... Byłem z księciem orleańskim w Dżokej-klubie!

Spojrzałem mu w maskę. Bo on nie ma twarzy, tylko czerwoną maskę z rudym zarostem i z szklannemi oczami.

— Tobie coś jest—rzekłem poważnie.

Przez sekundę spojrzał na mnie ze strachem.

A potem powiedział spokojnie, patrząc przed siebie:

— Dwóch Węgrów założyło się z sobą który z nich potrafi wyżej skoczyć. Otóż idą razu pewnego przez most, przez ten duży most w Peszcie... no, jakże się nazywa...

* *

*

Siedzieliśmy wczoraj, jak zwykle, przy kolacyi, w następującym porządku: na górze ona, z prawej strony Kowalewski, z lewej ja, a na dole kasyer i Guzik.

Była wieprzowina z kapustą, a potem przynieśli bardzo ładną, kremową leguminę.

— To nie należy do pensyi — powiedział kasyer — to jest niejako za darmo. Możecie wziąć, ile wam się podoba.

Po leguminie kazał kasyer przynieść flaszkę wina.

— Antek!—powiedziała pani kasyerowa, a potem spojrzała na Guzika i na Kowalewskiego.

— My nie będziemy pili—zastrzegł się Kowalewski.

— To znamy—pomyślałem sobie i czułem już w ustach doskonały smaczek.

Ale... wino nie przyszło.

Kasyer uśmiechnął się, jak chore dziecko.

— Co to znaczy! — krzyknął potem na sługę.

Sługa spojrzała na panią i wzruszyła ramionami.

— Jakiś nowy porządek — pomyślałem z nie-

dowierzaniem — codzień było wino, a teraz... nagle...

— Strasznie lubię Bourgeta — rzekła pani kasyerowa.

Kasyer zaśmiał się głośno i ostro.

— Anielciu — zauważył — teraz jest mowa o winie.

— Nie ma wina— szepnęła słodko Anielcia.

Naraz odezwał się Guzik:

— Ja miałbym ochotę — powiedział całkiem wyraźnie.

Głos jego miał coś wyzywającego, tak jak u fanatyków chorych na płuca.

— Na co?—spytał Kowalewski z indygnacyą.

— Na wino — odrzekł Guzik tak stanowczo, jakby grał w karty i mówił „rekontra".

— Nie ma wina — powtórzyła Anielcia.

Na to wstał kasyer, przystąpił do Guzika i pocałował go w czoło.

Zarumieniłem się ze wstydu, a w dodatku panowało milczenie.

— Ja także lubię Bourgeta—bąknął nieśmiało Kowalewski.

Kasyer poszedł do swego pokoju.

*   *

*

W nocy był znowu hałas. Zbudził się nawet Guzik i życzył domownikom całkiem wyraźnie i głośno różnych niemiłych rzeczy.

Rano wytłómaczyła mi wszystko pokojówka. Pan chciał wykraść się w nocy do restauracyi. Bo w domu nie dostał wina. Ale „nasza pani i pan Kowalewski" nie chcieli go puścić. I ztąd hałas i bójka. Pan o mało drzwi nie wywalił, bo klucz schowano. W końcu zmęczył się i został.

Kowalewski krząta się po domu, gada, rozkazuje. Ma taką twarz, jak komitetowy w dzień wielkiego festynu z fajerwerkami.

Był także u mnie.

— Proszę kochanego pana o słowo honoru, że pan nie pożyczy kasyerowi pieniędzy.

— Owszem. Chciałbym tylko wiedzieć...

— Rzecz jest taka...

Rzecz jest taka, że chodzi o egzystencyę „biednej, niewinnej kobiety". Nie mówiąc o tem, że kasyerowi grozi niechybnie *delirium tremens*. Otóż był u pani Anieli urzędnik i powiedział, że kasyer straci posadę, o ile nie pozbędzie się brzydkiego nałogu picia.

— ...Aha.

Pani Aniela i Kowalewski są uroczyście podnieceni. Bo chodzi o dobrą sprawę. Mówią sobie nawet z roztargnienia „ty" przy obcych ludziach. Konfiskują wspólnie różne ukryte flaszki, przeszukują kieszenie kasyerowskich spodni.

Słowem... dzieją się rzeczy. Chodzi o to, żeby nie było w domu żadnych alkoholicznych pierwiastków, a w posiadaniu pana kasyera ani centa.

Rozumiem i jestem sam podniecony.

Pani kasyerowa i Kowalewski trzymają się za ręce, jak dwa anioły.

Guzik siedzi w salonie na kanapie, uśmiecha się złowrogo i myśli.

— Panie, panie—mówię do Kowalewskiego — Guzik mu pożyczy.

Kowalewski klepie mnie uspakajająco po plecach.

— Guzik dzisiaj wyjeżdża!

— Tak?

— Na wakacye.

...Aha. Doskonale.

* *

*

Guzik wyjechał. Teraz jesteśmy niejako *entre nous*.

Kasyer pisze w swojem biurze.

Jestem ciekaw jednego: jak on będzie wyglądał w stanie trzeźwym? Bo dotychczas nikt go w tym stanie nie widział.

Patrzałem, jak pan kasyer idzie przez ulicę. Bo pokojówka, która właśnie sprzątała u mnie, zwróciła na to moją uwagę.

— O, idzie właśnie nasz pan.

Po chwili zaś dodała:

— Ale... znowu się kiwa.

Rzeczywiście, szedł cokolwiek niepewnie. Pomimo, że przecież nie mógł mieć przy sobie pieniędzy.

— To długo nie potrwa — uspokoił mnie Kowalewski — teraz dają mu jeszcze wino na kredyt. Ale to długo nie potrwa.

Tylko kolacye są przykre.

Kasyer opowiada anegdoty z niemiłem roztargnieniem. Przytem spogląda na żonę i na Kowalewskiego, którzy z roztargnienia patrzą sobie w oczy.

Ja sam tęsknię za winem.

* *

*

Jest druga w nocy, a ja nie mogę spać ze strachu. W całym domu czuć karbolem.

Przeżyłem dziś takie rzeczy.

O zmroku wszedł do mego pokoju człowiek. Zerwałem się z krzesła.

— Pożycz mi piątkę...

Dopiero go poznałem.

— Mogłeś coprawda zapukać — powiedziałem z wyrzutem.

— Przepraszam—szepnął kasyer.

— Do dyabła — pomyślałem—on mówi „przepraszam"?

I drżącemi rękami jąłem zapalać lampę.

— Daj pokój, po co? — wstrzymał mnie kasyer, i czułem, że ma zimną rękę.

Staliśmy naprzeciw siebie, ale twarzy jego nie widziałem.

— Nie mogę ci pożyczyć—powiedziałem z trudnością.

— Nie?

— Nie mogę. Dałem słowo, że ci nie pożyczę.

Potem chciałem znowu prędko zapalić lampę. Ale on mnie znowu wziął za rękę.

— Daj pokój. Lepiej tak, po ciemku... Bo zdaje mi się, że mam jakąś inną twarz.

— Co?

— Nic... Żartowałem. Chciałem ci tylko powiedzieć, że to będzie trudno.

— Co będzie... trudno?

— Tak żyć, bez niczego...

— On jest trzeźwy — pomyślałem.

Zaczął mówić głośno, z niepokojem:

— Słuchaj... jak to było z tymi Węgrami... wiesz?... zacząłeś raz opowiadać... o tych dwóch Węgrach, którzy się założyli...

Milczał.

Powtarzałem nerwowo:

— Jak to było z tymi Węgrami?... no!.. Jak to było?

Myślałem: on jest trzeźwy.

Minęło kilkanaście sekund. On milczał.

Nagle ogarnął mnie strach i wstałem:

— Chcesz wina?—spytałem wesoło, dzwoniąc zębami.

A potem poszedłem do drzwi.

— Poczekaj tutaj—mówiłem prędko—ja zaraz przyjdę. Chcesz wina? Popatrzę, czy nie ma w jadalnym pokoju. Zapytam sługi.

Wyszedłem prędko. Szukałem po całym domu Anieli i Kowalewskiego.

Nagle się spostrzegłem, że chodzę ciągle po schodach tam i napowrót.

Potem usłyszałem głosy. Po co ja chodzę i szukam... kiedy oni są w moim pokoju?

Jak we śnie.

Wracam do mego pokoju, bo słyszę ztamtąd głosy. W pokoju jest dużo ludzi. Aniela, Kowalewski, sługi... Wszędzie krew, krew...

Na ziemi leży kasyer. Aha... Brzytwą! Jak można! Brzytwą?

Jest druga w nocy, i trupa dawno nie ma. A ja nie mogę przecież spać.

To nieznośne, że w całym domu czuć karbolem.

KONIEC.

REDAKTOR: **ZDZISŁAW DĘBICKI.**

WYDAWCA: **KAZIMIERA GADOMSKA.**

Redakcya i Administracya Warszawa, Warecka 14.
we Lwowie, Plac Maryacki l. 4.




DRUK. EDWARD NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70. Tel. 27-73.